BIBLJOTEKA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO TOM XXXIX

JÓZEF WEYSSENHOFF

P I S M A

TOM SZÓSTY

Syn Marnotrawny

JÓZEF WEYSSENHOFF

SYN MARNOTRAWNY

TOM III

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12.

Druk. J. Rajskiego. Warszawa, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

XXII.

Fabiusz przyjechał ze Sieny do Antibes na godzinę przed dziesięciu dniami umówioną, ani wcześniej, ani później, i wkrótce potem był już w Nizzy, u pani Anny.

— Mizernie wyglądasz — rzekła Anna po przywitaniu.

— Gorąco już na południu, bardzo dużo chodziłem i pisałem nocami.

— A zresztą, jakże Siena.

— Wieża Babel nie dokończona, ale i nie rozwalona, najciekawszy może z posągów średniowiecznych rzeczypospolitych włoskich...

Opisał Sienę: przejmującą atmosferę ratuszowego placu i naszkicowane w kamieniu olbrzymie projekty katedry, cały gród zastygły przed zupełnym rozkwitem. Pominął tylko to, co czuł sam, chodząc po tych wielkich grobowcach nienasyconej, upokorzonej dumy. Powracał zrezygnowany. Oświadczył Annie, że za parę dni wyjeżdża do domu.

— Dałeś sobie przecie urlop do 15-go maja?

— Dałem, alem go nadużył. Zanadto się bawiłem, a szczególniej za dużo przestawałem z bawiącymi się ludźmi. Przyznaję się do manji nawracania; chciałem pociągnąć za sobą niektórych znajomych, wmówić w nich swoje teorje. Ale nie wskórałem nic i sam zostałem poniekąd wciągnięty w obcy mi sposób życia. Dlatego wyjeżdżam wcześniej, bo czuję, że jestem tu bez pożytku dla siebie i dla innych, że nawet mogę swoją obecnością nudzić i zawadzać.

— Nieszczerze mówisz, Fabiuszu; tak gorzko, jakbyś szydził.

— Wobec ciebie, Anno, nie poważyłbym się używać ani szyderstwa, ani obłudy. Powtarzam poprostu: nie mam tu co robić.

— A mnie namawiają, żebym tu jeszcze została.

— Czy wolno wiedzieć, kto namawia?

— Zawsze ci sami.

Pani Anna zarumieniła się swoim zwyczajem, a Fabiusz nie korzystał wcale z jej zakłopotania, aby ją wybadać, gdyż odgadł już wszystko, w miarę jak zabiegi Dubieńskiego i skłonność Anny rozwijały się pod jego doświadczonemi oczyma. Wiedział, że z urokiem młodości walczyć nie warto, że porywów uczuciowych nie tamuje się najmędrszemi słowami. Ale z drugiej strony, ponieważ całem sercem pragnął dobra Anny i pragnął nieskazitelności jej moralnej, postanowił pomówić z nią otwarcie, zapominając zupełnie o sobie.

— Od czasu jak was nie widziałem, czy zaszła jaka stanowcza zmiana w zachowaniu się pana Dubieńskiego?

Fabiusz postawił to nagłe pytanie jak spowiednik, nie patrząc w oczy penitentki. Nie mógł też zobaczyć na twarzy pani Anny odbłysku nietylko zdziwienia, lecz i nieprzyjemnego zawodu.

— Nie rozumiem, co Fabiusz chce przez to powiedzieć.

— Może mieszam się nie do swoich rzeczy, jednak tyle się znamy, tak serdecznie zajmuje mnie twoja przyszłość, że pozwalam sobie jeszcze raz zapytać: czy Dubieński ci się oświadczył?

— Nie.

— To źle. Takie rzeczy winny być jasne.

— Co Fabiusz chce przez to powiedzieć? — zawołała żywo pani Anna, rumieniąc się mocno.

— Droga Anno! masz we mnie więcej niż sługę i przyjaciela. Nie wątpiłem nigdy o tobie, mówię tylko o ważnych względach światowych, które, mojem zdaniem, trzeba wziąć w rachubę. Świat powinien wiedzieć odrazu: ten pan stara się o rękę tej pani. Nie można dać wątpić o tem nikomu, bo poważanie należy się nawet od ludzi byle jakich, ludziom tak uczciwym, jak ty i ja, naprzykład.

Anna przeszła od oburzenia do ironicznego trochę uśmiechu.

— Pierwszy raz Fabiusz wydaje mi się niekonsekwentnym. Znam kogoś, który podróżuje ze mną, jest u mnie codzień, a jednak... czy ja wiem

w jakich zamiarach? Nie naszą rolą jest zapytywać o to.

Po twarzy Fabiusza przeszła nagła bladość, opanowana kurczowym wysiłkiem brwi i policzków. Uśmiechnął się prawie zupełnie wesoło:

— To co innego! Starzy krewni nie liczą się... stare mentory, dziwaki... Ci mają tylko prawo... lub pretensję pilnowania korzyści i szczęścia pupilki, i dlatego ja troszczę się o to, jak został określony rodzaj zabiegów pana Dubieńskiego? Co ci powiedział? Gdzie zaszliście w zwierzeniach?

— Bardzo trudno to określić...

Przez chwilę Fabiusz wpatrywał się wzrokiem przenikliwym, ale i błagalnym w panią Annę, która, powracając do roli powolnej uczennicy, spuściła oczy.

— Ponieważ więc mówicie z sobą dużo, widujecie się coraz częściej, ponieważ on nie tai się ze swem uwielbieniem... Wszak nie inaczej?... Dotychczas powinien był już się oświadczyć. O twojej odpowiedzi nie przesądzam; ale co on powinien był uczynić, to wiem.

Anna spojrzała na Fabiusza tak, jak umieją spoglądać tylko kobiety, pewne swego uroku i działania na mężczyznę: z drażniącem zaufaniem, w którem zalotność przybiera postać pokory.

— Co sądzisz o panu Jerzym? — rzekła.

— Nic złego o nim nie wiem; to mi wystarcza, żeby go mieć za porządnego człowieka. Mężczyźni są dla siebie instynktowo tak źle usposobieni, zwłaszcza w pewnych wypadkach, że muszę się

wstrzymać ze swem zdaniem o Dubieńskim, bojąc się sądzić go niekorzystnie.

Anna spojrzała jeszcze przymilniej, jakby rozczulona pół-wyznaniem, które się Fabiuszowi wyrwało. Ale on nie pozwolił sobie na rozrzewnienie.

— Łatwo zrozumieć, że gdy chodzi o tak ważne dla ciebie projekty, mam uczucie prawie ojcowskie i chciałbym ciebie oddać w ręce zaufane.

— Wcale jeszcze tak nie jest... nie proszę o błogosławieństwo... sama nie wiem — rzekła Anna z nadąsaniem.

— Ja powiedziałem tylko to, co mi się wydało mym obowiązkiem.

Po wyjściu Fabiusza Anna chodziła sama po pokoju dziwnie podniecona. Więc i ten człowiek, bezwzględnie prawy, na którego uczucia liczyła jak na światłość dzienną, w stanowczej chwili nie prosi o jej rękę, nie błaga o odpowiedź, jakby się należało, tylko zapewnia ogólnie o swem przywiązaniu i ostrzega o przyzwoitości w stosunku do innego konkurenta... Ach, ta miłość własna męska, ta oględność, ta obawa, aby ktoś nie powiedział: dostał odmowę!

— Może też ja nie mam szczęścia? Może nie wzbudzam zaufania jako małżonka?... Może nie jestem dość dobrą partją?...

Spłonęła wstydem na to przypuszczenie, a zarazem poczuła przypływ niechęci ku całej płci silnej, ku ich wyrachowaniom, ich kupieckiej logice. Obaj, dawny i nowy wielbiciel, zatrzymywali się

namyślnie przed stanowczym krokiem; obaj, tak różni, ważyli swoją wygodę pierwej, nim osądzą, czy warto posunąć się do ostateczności. Fabiusz i Jerzy porównali się teraz w jej niechęci, a z tego porównania wychodził zwycięsko Dubieński. Ten ma przynajmniej wiele do poświęcenia, młody jest, rozpieszczony przez życie, przez kobiety... jest poetą, potrzebuje wolnych skrzydeł...

— A Fabiusz?... Przecie to byłby zaszczyt dla niego, gdybym została jego żoną. Nicby mi nie poświęcił, niczegoby się nie wyrzekł, nawet tych tam spraw społecznych... I on także namyśla się, nie na moją łaskę się zdaje, lecz na swoją niechybną metodę. Ja i moje szczęście także coś warte!...

Łzy kręciły się jej w oczach, niedobre łzy gniewu i upokorzenia.

A Fabiusz tymczasem szedł ponuro, ciężko po ulicy, nie potrzebując już układać twarzy do swobodnego uśmiechu. Oczy świeciły mu siłą rozpaczliwego postanowienia.

— Próbowałem być młodym, próbowałem szczęścia dla siebie. Stary jestem... Głowa i ręce jeszcze się przydadzą; nie mogę ich oddać na usługi młodej kobiety, chociażby najlepszej... Fałszywy kierunek...

Od paru już tygodni walczył z sobą, czując nieuchronność stanowczego kroku: albo oświadczyć się Annie, albo oddać ją Dubieńskiemu za żonę. Wstręt swój do tego młodzieńca tłumaczył sobie przez samcze współzawodnictwo, które starał się

zrównoważyć bezstronnym namysłem nad dobrem i pożytkiem Anny. Ostatecznie nic zarzucić nie można Jerzemu: jest młody, zdolny, będzie miał majątek. Chodzi o to, jak się podoba Annie. Ze smutkiem stwierdzał Fabiusz, że Anna inaczej, goręcej, z rozkosznem pomieszaniem przyjmuje obecność i słowa Dubieńskiego, gdy tymczasem jej uznanie dla dawnego przyjaciela jest już uczuciem dojrzałem, nie potrzebującem dalszych rozkwitów. Na takiem istotnem poważaniu ze szczyptą jeszcze rozrzewnienia, można oprzeć wspólne pożycie, ale gdyby ustała współzawodnicząca gorączka młodości, z której albo przyszłe szczęście, albo zguba wyniknie. Gorączka wzmagała się, niestety. Walczyć z nią było interesem, ale nie obowiązkiem Fabiusza. A nawet wzdrygał się przed walką, choćby dlatego, że przewidywał na teraz przegraną.

— „Za błękitami był bój i zwycięstwo“ — przypomniał sobie słowa wielkiego poety.—Dopiero za błękitami?... To otucha innych miłowań, niż miłość dla kobiety.

Tymczasem powołaniem jego jest inny bój, inne zwycięstwo na ziemi. Pomyślał o swym Śląsku, o cichym podboju ludu polskiego, który budził się po wiekach zniemczenia i poznawał z radością swych prawdziwych krewnych. Tam trzeba było jechać dla organizacji szkół, dla walki wyborczej. Oczekiwano go i wzywano listami.

— Pojadę. Chciałbym jednak, aby Anna wyjechała także jaknajprędzej, nie ze mną, ale jaknajprędzej. Chyba, że zaręczyny?...

Przełknął westchnienie i szedł brzegiem morza, bez celu, nie mogąc odzyskać moralnej równowagi. Mijał obojętnie przechodniów, udał nawet, że nie widzi spotkanych znajomych. Ale para kobiet, idących naprzeciw niego, zadziwiła go i wyrwała z zadumy. Pani de Sertonville i Krysia Granowska, ubrane jednostajnie w białe suknie i marynarskie kapelusze, trzymały się pod ręce, poufale chichocząc. Fabiusz ukłonił się i otrzymał wzamian od Fernandy lekkie skinienie głowy, a od Krysi ukłon trochę zakłopotany.

Minął je, obejrzał się jeszcze, wreszcie usiadł na ławce pod palmami, goniąc oczyma za oddalającą się parą kobiet.

— Co się tu dzieje, jest zdumiewające! Żeby pani Granowska mogła córce pozwalać na zażyłość z taką jejmością?! Pewno nie wie, co to za jedna? Przecie Granowscy powinni dbać choćby o pozory!

Przyszła mu myśl prosta i uczciwa: ostrzec panią Granowską. Będzie to usługą oddaną porządnym ludziom i rodakom, a niedyskrecją do przebaczenia, gdyż pani de Sertonville nie zasługuje na względy. Tylko sam gatunek postępku, rodzaj delatorstwa, nie przypadł Fabiuszowi do smaku; ale oburzenie zapamiętałego moralisty wzięło górę, i Fabiusz podążył do willi Granowskich.

Hrabina była zawsze w domu i przyjmowała chętnie. Chociaż Fabiusza znała bardzo mało, przyjęła go, sądząc, że po powrocie z Włoch, lub przed wyjazdem składa jej ceremonjalną wizytę.

Zastał ją w oszklonej galerji bardzo gorącej, gdyż chorej zalecono „kąpiele słoneczne“. Była właśnie pora takiej kąpieli; lokaj i służebna zasłaniali stopniowo szyby małemi ekranami, urządzonemi, jak w pracowni fotografa, aby głowę hrabiny pozostawić w cieniu, a resztę osoby pod palącemi promieniami słońca. Te ciche i powolne krzątania się nie przeszkadzały pani Granowskiej przyjmować gości, których wystawiała na niebezpieczeństwo upieczenia żywcem. Służyło to za wstęp do rozmowy.

— Proszę tu usiąść. Leonio! proszę ocienić pana! Temperatura jest wysoka, ale bardzo zdrowa. Trzeba ją znieść, aby uczynek miłosierny odwiedzin u chorej był zupełniejszy.

— Jak zdrowie pani hrabiny?

— Dużo, dużo lepiej. Te kąpiele słoneczne działają na mnie wybornie. Jestem silniejsza i gotowa do zniesienia kilku miesięcy w naszym niemiłosiernym klimacie... Pan powraca z Włoch — proszę mi coś powiedzieć o tych pięknych Włoszech.

Fabiusz pomyślał, że to wezwanie do elokwencji było albo dziecinne, albo impertynenckie. Opowiedział coś, ale bardzo mało; śpieszył do wykonania swego zamiaru i skręcił do niego obcesowo:

— Bądź co bądź, Włosi, choć mniejsi od swych przodków, są społeczeństwem normalnem. Nie spotkałem tam nigdzie takiej narośli społecznej jak Nizza, gdzie wartość ludzi moralna i towarzyska

jest tak fałszywie oceniana, tak problematyczna, że ludzie szanowni ryzykują na każdym kroku zbratanie się z niegodziwcami.

— Bardzo surowo dla tej kochanej Nizzy, której winnam powrót do zdrowia.

— Dom pani nawet, ta oaza dobrej krwi i dobrych zasad...

Fabiusz wykrztusił ten frazes ze ściągniętemi brwiami, kłopotliwie, sądząc, że potrzeba masażu przed zadaniem cięcia. Hrabina słuchała bez zdziwienia, przyzwyczajona do hołdów, przypominając sobie nawet podobne wyrazy innych gości, a teraz stwierdzała tylko, że ten Oleski jest zupełnie dobrze wychowany.

— Dom pani nie jest wolny od niebezpieczeństw.

— Oo...? co mi też pan mówi?

— Przyznaję się, że przyszedłem z zamiarem ostrzeżenia pani. Nie wiem, czy mogę mówić swobodnie?...

Rzucił okiem na lokaja i pannę służącą.

— Słowa po polsku nie rozumieją. Niech pan mówi po polsku. Tylko, jeżeli to coś przykrego... jestem bardzo jeszcze osłabiona... lepiej może nie wiedzieć?

— Nic tragicznego; proszę się nie obawiać. Proszę także mi wierzyć, że jedynie życzliwość i uszanowanie dla państwa przyprowadzają mnie tutaj, nie zaś osobista niechęć dla jednej osoby, którą pani przyjmuje.

Pani Granowska z rosnącym niepokojem przyglądała się gościowi, zaczynając żałować, że go przyjęła.

— Mówię o pani de Sertonville, bardzo zręcznej osobie, skoro potrafiła pozyskać miejsce w pani salonie i oddalić dotychczas bliższe wiadomości o swem awanturniczem życiu.

— Co pan mówi?! czyż doprawdy?

— Jeśli pani może poprzestać na tem, com powiedział, i oddalić naprzykład od swej córki tę niebezpieczną osobę, wolę nie zapuszczać się w wyliczanie różnych szczegółów.

— Przecie najpierwsze domy tutaj ją przyjmują...

— Za grubą opłatą. A zresztą najpierwsze te domy nie są jeszcze przykładem dla nas.

Pani Granowska nie wiedziała co począć ze stanowczością Fabiusza, którego oceniła jednak niepodejrzaną szczerość. Czy pytać dalej? czy ująć się za sympatyczną Fernandą? czy poskromić śmiałość tego obcego człowieka, który „nas“ zdaje się mieszać z „nim“?

Przedewszystkiem ją samą, rekonwalescentkę przyzwyczajoną do pieszczenia się, drażniło przewidywanie jakiejś akcji, jakichś rozporządzeń, wymagających nieprzyjemnych wysiłków energji.

— Jednak — chociaż oceniam pańskie intencje — zrozumieć nie mogę, dlaczego ta pani, spokojna, dobrze wychowana i szukająca oparcia z powodu swych nieszczęść, zasługuje na sąd tak surowy. Przytem — jesteśmy w Nizzy — to niby

table d'hôtes w wagonie — rozmawia się z sąsiadami, póki się przy nich przypadkowo siedzi.

— Ale córka pani... spotkałem ją przed chwilą w towarzystwie pięknej Fernandy na ulicy...

— Tak, wyszły stąd razem. Niech mi pan jednak coś powie, coś zacytuje pewnego, gdyż od plotek kobiety piękne nie są wolne...

Fabiusz namyślił się przez chwilę, co wybrać za „status causae" pani de Sertonville, o której zebrał dokładne informacje już dawno ze względu na możliwość jej bliższej znajomości z Anną.

— Czy pani wystarczy, gdy powiem, że ta Francuzka nie jest Hiszpanką, pochodzi z Marsylji, nazywa się Louise Martin, a kupiła tytuł hrabiny de Sertonville za pieniądze Rubensona, z którym dotychczas utrzymuje najściślejsze stosunki?

Nie mógł wybrać lepszego sposobu zgubienia Fernandy w opinji pani Granowskiej.

— Panie Oleski! Ufam, że to sprawdzone, zupełnie pewne, gdyż inaczej...

— Może mi pani wierzyć, że podobnych zarzutów nie stawiałbym bez niezbitych dowodów.

— Mój Boże! — zawołała pani Granowska — Krysia w towarzystwie osoby z fałszywem nazwiskiem! Mój Boże!

— Nie powiedziałem, że nazwisko jest fałszywe, tylko nabyte prawnie przez małżeństwo od zrujnowanego birbanta za grube pieniądze.

— Wszystko jedno! osoba tak niskiej ekstrakcji...

— A jeszcze niższych instynktów, o których zamilczę.

— Dosyć, dosyć mi tego, co wiem. Leonio! — zwróciła się po francusku do służącej — proszę iść zaraz poszukać panny hrabianki... powiedzieć... że przyszły ważne wiadomości z domu, od pana hrabiego... żeby wracała natychmiast.

Skutek był osiągnięty. Pani Granowska nietylko przełamała swą apatję, lecz zdawała się wpadać w gorączkę. Aż Fabiusz poczuł się w obowiązku zwrócenia uwagi, że nieostrożność już popełnioną należałoby naprawić ostrożnie, że nie warto dawać rozgłosu zerwaniu stosunków, aby nie nadto mówiono o samych stosunkach.

— Tak, tak... dziękuję panu. Ale jeżeli wypadnie mi powołać się na świadectwo czyje, choćby wobec mojej córki?...

— Odpowiadam za to, com ogłosił.

— Raz jeszcze dziękuję.

Czując się już zbytecznym, Fabiusz pożegnał się i wyszedł.

XXIII.

Trudno obliczyć, czy większe sprowadza spustoszenie profanacja świątyni, czy naodwrót — słowo uczciwe głośno wymówione w domu publicznym? W jednym i drugim przypadku powstaje popłoch, psując równowagę i harmonję stosunków. W towarzystwie nicejskiem kamień, rzucony przez

Fabiusza, wzburzył całą gładką powierzchnię, zanurtował nawet do głębi tę toń umiejętnie ułożonych prądów, starannie zatopionych mętów. Rzecz rozgłosiła się szybko, a choć dla wielu nie była nową, zgodzili się niemal wszyscy, że takich rzeczy — nie mówi się.

Najprzód Krysia, wezwana przez matkę do zerwania stosunków z panią de Sertonville, okazała silny, buntowniczy prawie opór, którego skutkiem bezpośrednim było tajemne zawiadomienie Fernandy, że Fabiusz opowiedział o niej „niestworzone rzeczy, nie wiem dobrze co, gdyż mama wszystkiego nie powiedziała“. Następnie obie przyjaciółki zdołały jeszcze pomówić z sobą, w ukryciu, za pośrednictwem służącej Leonji, która po zachodzie słońca nie była już czynna przy kąpieli słonecznej pani Granowskiej. W dalszym ciągu Fernanda wezwała do siebie Kobryńskiego, a w nocy, w klubie już kilkanaście osób dowiedziało się o postępku Fabiusza, jedni z oburzeniem, drudzy z wybuchem śmiechu, wszyscy zgodnie przyznając, że takich rzeczy — nie mówi się.

Rozprawa pani de Sertonville z Kobryńskim była dramatyczna. Książę, coraz mniej przyzwyczajony do uśmiechów Fernandy, stawił się na jej wezwanie nagłe późnym wieczorem, z ciekawością i obawą. „Czyżby zatęskniła do mnie?... Ale czy przypadkiem nie potrzebuje pieniędzy?“...

Od progu przyjęła go wielkim ruchem ręki, odrywając chustkę od oczu, choć oczy błyszczały raczej zawziętą jakąś gorączką, niż rozżaleniem.

— Wystaw pan sobie, co mi się zdarza!

— No? co takiego?

— Jeden z waszych rodaków, którego unikałam instynktowo, jak dotknięcia gadu, okazuje się rzeczywiście wężem, kąsającym pocichu. Rzucił na mnie potworne oszczerstwa...

— Niezmierniem ciekaw.

Fernanda powstała nagle i rzuciła naprzód sprężystą swą postać, mierząc Kobryńskiego oczyma zranionej pantery:

— Ten, ten wasz filozof, którego bredni słuchacie! ten stary intrygant, rajfur pani Oleskiej!

Nawet Kobryńskiego, choć był wyrozumiały na drobne błędy Fernandy, uderzył dobór wyrazów i odmienna jej postać. Zesztywniał trochę, a pani de Sertonville pohamowała się, usiadła i, zakrywając twarz jedną ręką, drugą wyciągnęła do gościa.

— Czy pan nie zechce stanąć w mojej obronie?... w obronie biednej, osamotnionej kobiety?...

— Jakież byłyby rozkazy? — zapytał Kobryński, całując podaną rękę, ale strzelając w bok oczyma. — A najprzód, co powiedział?

— Poważa się rozgłaszać o mnie, że noszę fałszywe nazwisko, że ktoś mnie... Nie zdołałam jeszcze dowiedzieć się o wszystkich jego wymysłach. Dość, że potrzebuję bata na niego, że chcę ukarać tę... kanalję.

Z trudnością panowała nad wyrazami i nad głosem, który od szlochania przechodził do twardych, ochrypłych wybuchów.

— Jesteś pan krewnym Granowskich?

— Jestem. Cóż z tego?... Aha, może im właśnie coś o pani wyjawił?

— Wyjawił?...

— Chcę powiedzieć: nakłamał.

— Zwąchał łotr, że najboleśniej mnie tem dotknie.

— Więc przed Krysią coś wyśpiewał?

Zmierzyli się wzrokiem. Kobryński miał minę dowcipną, a Fernanda trochę ostygła, starając się wybadać z tej miny, czy Władzio nie jest zbyt domyślny.

— Oczernił mnie przed panią Granowską, to jeszcze gorzej. Wiedział, że najłatwiej zaniepokoić chorą i skrupulatną kobietę. A ja dbam o ten dom, w którym mi okazano bezinteresowną dobroć.

— Gdyby wiedzieć napewno, co tam nagadał, możnaby odrobić.

— To nie dosyć! Tego pana muszę ukarać, a sama nie mam na to doraźnego sposobu. Potrzebuję ręki i serca przyjaciela.

Kobryński pomyślał, że obiecać zawsze można. Rzekł więc z gestem skromnie bohaterskim:

— Jeżeli rękę i serce moje poczytuje pani za godne, są zawsze na usługi.

— Spodziewałam się tego. Z mojej strony jeżeli wdzięczność moja jest jeszcze dla pana coś warta, będziesz ją miał...

W czarnych jej, rozlanych oczach przebłysnęła lubość drapieżna.

— Mówią o mnie, żem lekkomyślna, a jednak na obietnicy mojej nikt się nie zawiódł.

Władzio rozpromienił się, chociaż bowiem nie wiedział jeszcze, czego od niego właściwie żądają, wiedział, czego sam oddawna się doprasza.

— Powiedz, co czynić?

— Nie śmiem dyktować, jak się ma zachować mój rycerz. Trzeba mnie pomścić, a pohańbić moich nieprzyjaciół.

— Pozostaje mi więc tylko przypiąć do hełmu barwy pani. Czy nie dostanę za moją gotowość jakiego odznaczenia? Gdyby tak order podwiązki?

— To bardzo wysoki order, jeszcze nie zasłużony.

Narada przybrała inny kierunek, sentymentalny. Kobryński wyszedł zadowolony i pełen rycerskiego ducha.

W klubie opowiedział kilku przyjaciołom postępek Fabiusza, dodając szczegóły obciążające. Według tej wersji, Oleski, obrażony na panią de Sertonville za okazane mu lekceważenie, starał się podkopać jej pozycję towarzyską, opowiadając Granowskim o jej fałszywem nazwisku. Ale on, książę Kobryński, nietylko znał osobiście hrabiego de Sertonville, lecz był wtajemniczony w historję tego małżeństwa, w którem strona żeńska miała bardzo piękną rolę.

Potem usiadł do gry i pierwszy raz od kilku tygodni wygrał znaczną sumę. Doszedł do wniosku, że Fernanda „przynosi wenę“, i że jego kampanja tegoroczna zakończy się spełnieniem wszystkich życzeń, praktycznych i sercowych. Zapłacił

z wygranych pieniędzy należność d'Anjorrant'owi, najpilniejszą; czuł jeszcze bilety bankowe w kieszeni i siedział do późnej nocy w gronie przyjaciół przy winie, rozprawiając z wyższością o teorji gry i o prawach towarzyskich, których, niestety, styl i władza są w upadku z powodu, że zbyt łatwo przypuszczamy do towarzystwa osoby, nie zalecające się ani przez urodzenie, ani przez wychowanie. Naprzykład Oleski popełnił więcej niż głupstwo: zamącił spokój towarzyski i napadł na bezbronną kobietę.

Znajdował echa mniej więcej zgodne. D'Anjorrant, dobrze dziś usposobiony dla księcia, był jego zdania; tylko nie brał zajścia ze strony tragicznej, ograniczał się na niemiłosiernem szydzeniu z Fabiusza:

— Widocznie wasz Rzymianin, pod koniec sezonu, zapragnął urzędu cenzora. Bywali już i tacy Fabiuszowie. Temu możeby kto zawczasu doradził rejteradę do wiejskiego zacisza, bukoliki, zbiór siana, pisanie pamiętników?... Inaczej mogliby go konsulowie skazać na wygnanie.

Schwind zważał rzecz ze stanowiska czysto rycerskiego: nie napastuje się kobiet. De Nielles podążał w szyderstwie za d'Anjorrant'em:

— Możeby się Fabiusz zgodził na dobosza do „armji zbawienia". Byłby imponujący na tem stanowisku.

Jeden Słuszka, choć nie pochwalał Oleskiego, nie cieszył się z jego pomyłki:

— Musiał mieć pobudki, o których nie wiemy. To człowiek uczciwy. Pod tem się coś kryje...

— Gdyby nawet kryła się prawda, — rzekł d'Anjorrant — ogłaszać ją w tej formie jest kapitalnem głupstwem.

Odezwał się znowu Kobryński:

— Kiedy i prawdy niema. Pani de Sertonville jest zamężna. Jakie były jej stosunki z mężem, to do nikogo nie należy. Pozycja światowa jest regularna. A przytem chciałbym wiedzieć, dlaczego Oleskiemu mielibyśmy zdawać sprawę z naszych obyczajów?!

— „Naszych“ to znów dla nas za pochlebne, kochany książę — rzekł d'Anjorrant. — Nie jesteśmy dość piękni, ani dość... Hiszpanami, aby w pogardzie opinji dorównać słynnej Fernandzie. Każdy ma swoją specjalność. My mamy inną.

Kobryński zmiarkował z rozmów, że wprawdzie Fabiusz nie ma tu przyjaciół, ale pani de Sertonville, jeżeli ich ma, to bardzo podejrzanych. Tem trudniejszą wydała mu się misja upokorzenia, zgnębienia lub nawet wygnania Oleskiego, i nie wiedział, jak się do niej zabrać.

Liczył na swą intuicję. Żałował tylko, że Fabiusz nie bywa w klubie. Żeby go miał tutaj, teraz, potrafiłby go „urządzić“. Trzeba było jednak czekać do jutra.

Nazajutrz rzeźwe powietrze poranne przyniosło mu trochę ostrzeżeń. Gdy spotka Fabiusza, nie może wyraźnie ujmować się za Fernandą z dwóch

powodów: po pierwsze nie wiadomo, jaki w tym dziwaku mieszka animusz wojowniczy? powtóre: oficjalnie występować jako obrońca pani de Sertonville byłoby trochę śmiesznie, a trochę też zuchwale ze względu na żonę, Dubieńskich i tak zwane „gniazdo“. Że jednak był w wenie, wynalazł dobry wstęp do działania. Przystąpi do Fabiusza nie groźnie, lecz z rozżaleniem, i nie wyraźnie w obronie Fernandy, lecz niby od krewnych swych, Granowskich.

— Wybornie! Władzio ma jeszcze głowę na karku.

Powiodło mu się spotkać Fabiusza samego w restauracji, na śniadaniu. Usiadł przy innym stole, także samotny, i pilnował wyjścia swej ofiary; gdy Oleski wyszedł, Kobryński dogonił go na ulicy.

— Pragnąłbym otrzymać od pana pewne objaśnienia w dość delikatnej materji.

Mówił ze spuszczoną głową, zamyślony, czy zakłopotany? gniewny, czy przygnębiony? Nie można było nic wyrozumieć z tej twarzy. Fabiusz, choć bez przyjemności, odpowiedział:

— Służę panu.

— Krewna moja, hrabina Granowska, bardzo żywo odczuła pewne... odkrycia, któremi pan uznał za stosowne z nią się podzielić.

Fabiusz stanął jak wryty. Błyskawicznie przebiegł myślą drogę, odbytą od wczoraj przez jego wyznanie, i zgadł, że Kobryński był uwiadomio-

ny nie bezpośrednio, lecz przez panią de Sertonville.

— Czy pani Granowska poleciła panu rozmówić się ze mną?

— Och, nikt mi nie polecił — rzekł Kobryński niedbale; — ciekawość tylko mnie zdjęła dowiedzieć się, w jakim celu zechciał pan rzucać niepokój w serca aż trzech kobiet, pozostających tutaj bez zwykłej męskiej opieki?

Fabiusz zaciął wargi; pohamował się i rzekł spokojnie:

— Jeżeli pan ma wyraźne zlecenie od pani Granowskiej, wytłumaczę. Jeżeli zaś nie, tłumaczyć się nie widzę powodu.

— Jednak dobro i zdrowie moich krewnych żywo mnie obchodzi. Także dla pani de Sertonville mam wiele przyjaźni i znam lepiej jej historję, niż ludzie daleko od niej stojący i powiadomieni... fałszywie.

— Mości książę! najgorszym sposobem porozumienia się jest retoryka. Czy pan chce porozumieć się ze mną?

Kobryński zmiarkował, że Fabiusz uniknąć chce sprzeczki. Mówił zatem coraz twardziej:

— O porozumienie z panem chodzi mi... że tak powiem, nawiasowo. Ale niesprawiedliwość wyrządzona oburza każdego sumiennego człowieka...

— Przepraszam, o tem ja sam będę sądził, czy miałem prawo ostrzec panią Granowską o niewłaściwości dla jej domu takiego towarzystwa, jak pani de Sertonville.

Kobryński uśmiechnął się gorzko, ironicznie:

— Doprawdy, sądzi pan trochę powierzchownie, panie Oleski! Na pozorach i plotkach, za których fałszywość ja ręczę, — słyszy pan, panie Oleski? osnuł pan niewielką akcyjkę moralną, której wynikiem jest, że hrabina Granowska zachoruje z niepokoju, a hrabinie de Sertonville nikt drzwi nie zamknie, co mogłoby się przeciwnie innym przytrafić.

Fabiusz wyprostował się. Poważna twarz jego powlokła się bladością uroczystą. Odpowiedział dobitnie:

— Przyszła chwila, w której pan spodziewał się usłyszeć ode mnie słowa wyzwania. Nie usłyszy ich pan. Proszę to sobie poczytywać za triumf.

Zauważył teraz dopiero, że Słuszka zbliżył się i słuchał mocno zdziwiony.

— Panie Eustachy! — zwrócił się do niego Oleski — książę Kobryński udzielił mi nagany w imieniu pani Granowskiej i pani de Sertonville. I nie pociągam za to księcia do odpowiedzialności. Inaczej zapatrujemy się na przyzwoitość i obowiązki; postanawiam więc odtąd unikać rozmów z księciem, jego krewnymi i przyjaciółmi.

Ukłonił się sztywno i odszedł.

Kobryński zaś wziął Słuszkę pod rękę i, nie znajdując po polsku formuły na swe oburzenie, zawołał po francusku:

— *Joli coco! quoi?*

Słuszka nic nie odpowiedział.

XXIV.

Kobryński nie omieszkał ogłosić wielu znajowym, że „zmył głowę“ Oleskiemu. Gdy mu nie dowierzano, zasłaniał się świadkiem:

— Niech Słuszka wam opowie; był obecny.

Słuszka jednak wzbraniał się; mówił, że nie słyszał całej rozmowy, a Władziowi radził poufnie, aby się nie chwalił, gdyż, jeżeli postępowanie Oleskiego było niejasne, jego rola, Kobryńskiego, była natomiast trochę śmieszna.

Kobryński poszedł jednak pochwalić się Fernandzie ze względu na obiecaną wdzięczność, ale doznał przykrego zawodu, gdyż dama, dowiedziawszy się, że ani pojedynku nie będzie, ani Oleskiego nikt dotąd nie obił, nie zbezcześcił, nie oczernił w gazetach, okazała swemu rycerzowi najwyższe niezadowolenie. Była zaś w czarnym humorze, gdyż pani Granowska nie przyjęła jej dzisiaj, a nawet oczekiwanego od Krysi listu zabrakło.

Władzio rozkrzyżował ręce:

— Cóż pani chce? sztyletami już się w naszych czasach nie wojuje.

— Tak. Mężczyźni bez nerwów nie są do tego zdolni.

Kobryński wyszedł obrażony.

— Niech djabli porwą tę...

Przyznał Fernandzie po raz pierwszy tytuł jej należny i pomyślal, że dosyć zabiegów o nią. Wykreślił ją gwałtownie z szeregu swych ambicji.

Teraz tylko odegrać się, a wyprawa na Południe udałaby się niezgorzej.

Poszedł do klubu.

Wypadki zatem ostatnich dni miały skutek obosieczny. Pani de Sertonville była bliską bankructwa z powodu Fabiusza, a Fabiusz podrujnowany w opinji z powodu pani de Sertonville. Skąd wynika, że nie trzeba nic poruszać w towarzystwie dobrze ułożonem.

Oleski nie był powszecznie lubiony w Nizzy, ale budził instynktowną obawę; jest to zasada do poważania skuteczniejsza za naszych czasów od przestarzałej cnoty. Teraz zaś dowiedziano się z radością, że można go lekceważyć: jest niezgrabny i niedość buńczuczny w odpieraniu napaści. Może tylko chrześcijanin i nic więcej?... Moraliści klubowi skrzętnie zanotowali te spostrzeżenia.

Szczegóły drażliwych rozmów i komentarze o nich prędko rozniosły się po mieście. Doszły i do pani Oleskiej przez lady Cosway. Zadziwiła się, że nic o nich nie wie od Fabiusza, którego zresztą od dwóch dni nie widziała. Zakopał się w Antibes dla dokończenia jakiejś pracy przed wyjazdem. Sprowadzony telegramem, przybył do Nizzy, smutny i zimny, potwierdził obiegające wieści i nie odzyskał w rozmowie z Anną tego tonu wmawiającego gorące uznanie, który był mu pozyskał serce przyjaciółki.

Anna posmutniała także, gdyż poczuła jakieś oddalenie moralne od Fabiusza, a może i dlatego, że pierwszy raz postępowanie jego nie budziło

w niej owego gorącego uznania. Kobiety lubią rycerzy.

W godzinę później zjawił się Dubieński, gość coraz częstszy, mający już „swoje godziny“ od czasu, jak przerwały się „godziny Fabiusza“. Zaraz pani Anna zapragnęła pomówić z Jerzym o wypadkach wczorajszych i przedwczorajszych.

— Co mówią o tem?

— Mówią rozmaicie, niechętnie, jak zwykle próżniacy i ludzie, mający sobie dużo do wyrzucenia. Ja zaś bardzo krytykuję zachowanie się mego szwagra.

— Doprawdy?

— Tak dalece, że postarałem się prywatnie i oczywiście tajemnie nakłonić go do naprawienia swej nierozwagi.

— W jaki sposób?

— Jerzy dobył z kieszeni list niezapieczętowany z adresem do Fabiusza Oleskiego.

— Niech pani będzie łaskawa przeczytać.

Anna rozwinęła arkusz. Niema na świecie kobiety, któraby nie przeczytała dozwolonego świeżego pisma.

Kobryński oświadczał w tym liście Oleskiemu, że żałuje słów w nerwowem podnieceniu wymówionych i że, uprzedzając wszelkie rekryminacje, sam poczuwa się do odwołania swego sądu o akcji, którą źle oceniał pod wpływem fałszywych ubocznych informacyj. Zapewniał wreszcie o swem poważaniu i prosił o zachowanie mu przychylności, którą wysoko ceni.

List był odruchowo szlachetny, rycerski i wcale do Władzia niepodobny. Anna, mocno zarumieniona, zapytała:

— To pisał książę Kobryński?

— Przyznam się, że dyktowałem.

Anna chciała dziękować, ale zatrzymała się. Oczy jej dosyć mówiły Jerzemu, a dziękować wydało jej się ubliżającem dla Fabiusza. Po chwili rozrzewnionego milczenia rzekła:

— Bo pan sądził, że Fabiusz ma rację i że mu się to należy?

— Najzupełniej.

— Działał w szlachetnym zamiarze, ostrzegając panią Granowską, a potem nie chciał sprawy rozmazywać.

— Oczywiście. Postąpił uczciwie i poważnie, ale trafił na ludzi, którzy go nie umieli zrozumieć.

— Pan jednak zrozumiał go?

— Pochlebiam sobie.

— I panby tak postąpił na jego miejscu?

Tu Jerzy złożył ręce w małdrzyk, skręcił się całym torsem i wreszcie skromnie wymówił:

— Nie. Jabym się na to nie zdobył.

— A więc?...

— Nie mam dosyć powagi. Może w jego wieku... Nie umiem kłamać przed panią. Jabym się pewno nie mieszał najprzód platonicznie do cudzych stosunków, a potem zapewne nie utrzymałbym nerwów na wodzy.

— Jednak pan przyznaje słuszność Fabiuszowi?

— Z jego stanowiska, zupełną.

— A ten list wymógł pan na szwagrze dlaczego?

— To już pani niech zgadnie.

— Dobry z pana przyjaciel i dobry człowiek.

Niezwykłe ciepło biło od jej postaci, dźwięczało w jej głosie. Jerzy rozpromienił się; aby nie spłoszyć wrażenia, które wywarł, był cichy, naturalny i skrócił odwiedziny, mówiąc, że list musi natychmiast wysłać do Antibes.

Pani Anna pozostała w słodkiem harmonijnem zadumaniu: popędy jej sercowe dostrajały się do wymagań sumienia. Człowiek, który tak szlachetnie myśli, tak się różni od pospolitych spekulantów życiowych, może mieć tylko porządne zamiary. Myśli zaś ciągle o niej, zgaduje i uprzedza jej życzenia, podbija serce jej i szacunek, nietylko zmysły. A piękny przytem i towarzysz... Dojrzały także, roztropny, umiejący znaleźć sobie drogę pośród ludzi. Po co bronić się od niego? Jest już swój, bliski i kochany. Trzeba chwytać szczęście, które w jego postaci przychodzi. Trzeba...

— Wyszedł... Dlaczego wyszedł? Chciałabym mu głowę położyć na ramieniu...

. . . .

Tego dnia był silny upał, niedogodny zwłaszcza dla ludzi otyłych, którzy mają dużo do roboty na mieście. Dawał się też we znaki Rubensonowi. Poczciwy bankier, wziąwszy do serca krzywdę, wyrządzoną pani de Sertonville, był u niej dzisiaj już dwa razy, potem szukał kogoś w różnych

miejscach, w klubie, zajrzał do Crédit Lyonnais i powracał do Fernandy po raz trzeci. Trud oblał go strumieniami potu, ale oczy mrugały zadowoleniem dobrego uczynku.

— No i co? — przyjęła go Fernanda z ciekawością, która z jej oczu biła namiętnemi iskrami.

— W porządku. Rzymianin dostanie nauczkę, po której albo cię publicznie przeprosi, albo nie będzie mógł się pokazywać w Nizzy.

— Któż mu da tę nauczkę?

— Ktoś, z którym on będzie się musiał liczyć.

— Może d'Anjorrant?! — zawołała Fernanda, wstrzymując oddech aż do odpowiedzi.

Rubenson przetrzymał ją trochę, poczem wymówił wolno:

— Tak jest, sam pan margrabia.

Fernanda pachnącemi dłońmi ujęła twarz Rubensona, w której zwichrzonych zaroślach ruszały się mokre, mlaskające wargi.

— Jesteś kochany! Inni mogą być piękniejsi, aleś ty mój.

I trwała chwilę ta scena, prawdziwie miłosna, której słowami oddać nie można. Trzebaby chyba złożyć fantastyczną sielankę o syrenie zakochanej w polipie morskim. Nietylko piękne twory umieją kochać, a gdyby mierzyć siłę uczucia z wewnątrz, nie z powierzchownego stanowiska estetyki, Fernanda i Rubenson, syrena i polip, byliby może najlepiej dobraną parą.

Kochanek lubował się dalej w wystawianiu swych zasług, ona zaś słuchała ze współczuciem gorącem, jakby obliczali razem wspólne skarby.

— Nie pomógł nic Kobryński — książę, tani książę — nie pomógł Dubieński — faworyt mojej królowej. Tylko jeden Rubenson wynalazł sposób.

— Nie udawałam się do Dubieńskiego. Nudzi mnie.

— On mnie już dawniej nudził. Ale wolno pani, wszystko jej wolno...

— Mój dobry przyjacielu! zamiast udawać głupich, powróćmy do najciekawszej sprawy. Jak wziąłeś Raula? Opowiedz szczegółowo. Twój dowcip mnie zachwyca.

Rubenson rozparł się w fotelu i zabębnił palcami po kamizelce.

— Trzeba znać psychologję... Raul nie jest w dobrych interesach. Ja wiem to: on nie jest w dobrych interesach. Potrzebuje dużo na takie życie w Paryżu i w Nizzy, więcej niż dwa razy swój dochód, bo papa d'Anjorrant także dużo potrzebował i zostawił długi. Majątek margrabiny będzie dobry dopiero po śmierci jej rodziców. Dlatego on musi robić operacje. A któż je zrobi za niego, jeżeli nie ja? On się na tem tak zna, jak ja na... doprawdy nie wiem, na czem ja znam się tak źle, jak on na giełdzie. Dlatego ja Raulowi jestem bardzo potrzebny. Ja na niego mam duży wpływ...

— To wiem. Ale jak przystąpiłeś do przedmiotu? Przecie nie robi odrazu wszystkiego, co każesz?

— To zależy...

Nawet Fernandę niecierpliwił ten zwrot mowy właściwy Rubensonowi.

— Od czego zależy? Mnie przecie wszystko możesz powiedzieć.

— Ja to wiem. Ale są rzeczy nieprzyjemne, o których nie warto mówić. Miałem bardzo nieprzyjemną rozmowę z Raulem...

Skrzywił twarz pooraną już tak wyrazistemi fałdami przez namiętne walki, że najlżejszy dodatek zamieniał to „zwierciadło duszy“ w tragiczną maskę.

Fernanda znała swego Rubensona. Gdy mówił o „rzeczach nieprzyjemnych“, znaczyło to, że interes był kosztowny. Wiedziała również, że Rubenson ma wstręt do wymieniania cyfr, że operuje pewnie i tajemnie. Zapytała jeszcze:

— Powiedz przynajmniej, czy grubo cię to kosztowało?

Maska tragiczna rozpłynęła się w potwornie lubieżnym uśmiechu:

— Nie tyle, ile warte twoje zadowolenie.

XXV.

Na skrajnym cyplu przylądka Antibes, słynnego pięknością ogrodów, stoi pałac w stylu francuskim, niedawno zbudowany, wkrótce zaś opuszczony przez właściciela i zamieniony na hotel. Od pałacowego tarasu szeroka aleja prowadzi przez

gąszcze drzew południowych do miejsca nad morzem, gdzie można śnić pod palącem słońcem. Mimowolnie śni się tu o Afryce, której przeciwległe dalekie wybrzeża, choć niewidoczne, muszą tak samo wyglądać. I tutaj wśród bogatych zagajeń sterczą gdzie niegdzie palmy, a bliżej bieli się mały meczet, pod nogami zaś na złomach rudej skały rozkładają się symetrycznym haftem kwiaty portulaki, karmazynowa na zielonem tle podarta arabska makata. Przez mleczno-błękitne, gorące opary widać na morzu wyspy Leryny.

Ten kąt ziemi wspaniały, a jednak mniej ludny, obrał sobie za mieszkanie Fabiusz Oleski. Tutaj, w pachnących gąszczach ogrodu, albo wczesnym rankiem nad morzem, snuł zwykle i spisywał swoje rozmyślania, poczem przenosił się do gwaru nicejskiego, w którym znajdowała się Anna. Od powrotu zaś ze Sieny cały prawie dzień spędzał w swojem Antibes, ociągając się jeszcze z wyjazdem dla ukończenia dzieła, które dawno rozpoczął.

Wypadki i ludzie tutejsi dostarczali mu wątku, jako negacja jego ideałów i pragnień społecznych. Tak żyć nie można i nie trzeba; tego był pewien. Myślał już dawno o zdemaskowaniu, o nazwaniu po imieniu prądów wstecznych, panoszących się pod tytułami: pozytywizm, utylitaryzm, kosmopolityzm. Tutaj, mając przed oczyma najbujniejszy rozkwit życia opartego na tych zasadach, notował objawy rozkładu groźnie plamiące to życie. Czuł jednak, że trudnej niż gdzie indziej

zdobywa się na sąd spokojny: sam miał swą sprawę sercową tutaj, przeto i wiele kierunków, a nawet osób nienawistnych. Czuł w sobie rosnący niepokój gorzki i niepłodny, ten stan nerwowy, który jest wrogiem szczęścia ludzkiego.

Dzisiaj było mu i fizycznie źle, bo skwar leżał ciężki przy ziemi i burza wisiała w powietrzu. Przez wierzchołki drzew przechodziły od czasu do czasu podmuchy niepokojące, dramatyczne. Morze parowało widocznie mgłą gęstą, prawie szafirową, i pomruk fal stawał się silniejszym.

Fabiusz otrzymywał też od rana listy drażniące. Najprzód od pani Anny list przyjazny, zapytujący o wyjazd, o projekty, z wymówką za dwudniową nieobecność w Nizzy. List ten był mu przykry. Takie, widać, odczepne dla starego sługi, którego się nie odprawia, ale też i nie potrzebuje... Jak się masz, Fabiuszu? dokąd tak sobie idziesz?...

— Powinienem był przewidzieć, że ten przeklęty kraj zaczadzi ją zapachami albo i otruje... Dubieński?... Żeby miał więcej wad widocznych, możnaby działać przeciwko niemu, ale nie ma wad... Jedną tylko kapitalną, że za łatwo godzi się z tutejszymi ludźmi, z ich trybem życia. Kto inny nazwie to talentem.

Przyszedł potem list od Kobryńskiego.

Fabiusz przejrzał go, odczytał i zarumienił się.

— Co to jest? Jakaś protekcja! Sam Kobryński nie wymyślił tego listu.

Nieproszona szlachetność tego wystąpienia wzburzyła Oleskiego.

— „Uprzedzając wszelkie rekryminacje...“ Wiedział przecie, że rekryminacyj nie będzie. W tych wyrazach jest nietylko nowa krytyka mojego postępowania, lecz i dowód cudzego współpracownictwa... Komuż miałbym zawdzięczać? Przyjaciół mam mało. Anna nie mieszałaby się do tych rzeczy. Może Słuszka?... Bez porozumienia ze mną?... A gdyby przypadkiem... Dubieński?...

Samo to przypuszczenie obraziło go bardziej niż natchnione przez zemstę pani de Sertonville słowa Kobryńskiego, niż krytyka, którą przeczuwał w klubie nicejskim. Żałował też naprawdę swych działań ostatnich: ostrzeżenia pani Granowskiej i puszczenia płazem Kobryńskiemu jego pretensjonalnej perory.

— Jedni mnie ostro sądzą, inni mnie bronią, nie wiem, co wolę z dwojga; jestem pod opieką tego nienawistnego stada, które już zabierałem się pożegnać na zawsze. To doprawdy zbyt śmieszne dla mnie. Tylko kobieta może poważnego człowieka zapędzić w takie opały!

Gdy spostrzegł, że czyni zarzut pani Annie z tego, że sam za nią podążył i pozostał w Nizzy, cofnął się przed własną niesprawiedliwością, ale znów powracał do gorzkich poprzednich rozmyślań. Opanował go niepokój i niezadowolenie z siebie. Nie mógł odzyskać równowagi.

Przed wieczorem przyszła wielka koperta z herbem, którego rysunek Fabiusz pamiętał: te dwa

anioły klęczące, zwrócone ku sobie, wystudjował na jachcie d'Anjorrant'a w pamiętny ranek, gdy oczekiwał powrotu Anny z uczty na morzu. Znak i ten, który go nosił, był dla Oleskiego symbolem sił nienawistnych.

— A to co? zaproszenie jakieś?

List brzmiał jak następuje:

„Panie!

Zmuszony widzieć się z panem dla objaśnień w sprawie osobistej, upraszam o możliwie rychłe oznaczenie mi miejsca schadzki. Udałbym się do pana lub zaprosił go do siebie; ze względu jednak, że rozmowa nasza właściwiej i dogodniej odbyć się może na gruncie neutralnym, proponuję klub nicejski, w którym oczekiwać będę do wieczora pańskiej odpowiedzi lub, w razie zgody, przybycia.

Z poważaniem
Margrabia d'Anjorrant".

Celu tego listu ani przedmiotu rozmowy Oleski nie odgadł. Ale doznał raczej przyjemnego wstrząśnienia, które wyrwało go z koła trapiących wspomnień. Coś się objaśni, coś stanowczego może wyniknąć; nadarza się nawet sposobność potraktowania tych ludzi, jak na to zasługują. Zdał sobie sprawę, że z pomiędzy „tych ludzi" najchętniej potraktowałby d'Anjorrant'a.

Po krótkim namyśle zajrzał do rozkładu jazdy pociągów i odtelegrafował, że stawi się w klubie w Nizzy o pół do dziesiątej.

Gdy margrabiemu oddano kartę Fabiusza, siedział przy partji écarté. Kazał gościa prosić do pustego gabinetu i, przerywając grę, udał się tam.

Podali sobie ręce, jak znajomi, jednak bez żadnych formalnych serdeczności, i usiedli.

— Oszczędzę panu i sobie wstępu o delikatności materji, gdyż pan może zgaduje, w jakim celu ośmieliłem się go niepokoić?

— Nie mam pojęcia!

— Sądziłem, że już panu mówiono o tem... Ale skoro nie, muszę zacząć od przypomnienia pewnej rozmowy, którą pan miał przed trzema dniami z panią Granowską o pani de Sertonville.

Oleski nie spodziewał się, ażeby d'Anjorrant podjął się dublowania roli Kobryńskiego. Skoro się o tem dowiedział, uradował się i uczuł się panem położenia.

— Więc to ma być naszym przedmiotem! w takim razie jestem już powiadomiony: pani de Sertonville czuje się obrażoną. Bardzo żałuję...

Margrabia wpadł w ton poufniejszy:

— Przepraszam, że przerywam. Chcę przed panem usprawiedliwić moje wmieszanie się w tę sprawę. Z pozycji mojej tutaj wynika, że zapytywano mnie o zdanie w tej kwestji; udzielałem go oględnie, jednak utaić nie mogę, że wyraziłem sprzeczny z pańskim pogląd. Pani de Sertonville nie zasługuje na sąd tak surowy, i gdyby pan znał ją tak dobrze, jak my wszyscy, z pewnością zmodyfikowałby swe zdanie o niej.

— Czy mam zaszczyt mówić z sekundantem? nie... to się jeszcze nie zdarzyło... więc z przyjacielem, z parlamentarzem pani de Sertonville?

D'Anjorrant spojrzał z niedowierzaniem na Oleskiego, pozostał jednak przy tonie swobodnym:

— Rzeczywiście nie sekunduje się kobietom, bo niema też w naszem towarzystwie zwyczaju publicznego ich obrażania. Ja zaś tłumaczę się, że sam jestem mocno zainteresowany wyrażoną przez pana wątpliwością, czy pani de Sertonville może, lub nie może być przyjmowana przez Granowskich. Jak panu wiadomo, pani de Sertonville bywa u nas wszystkich. Odkrycia więc skandaliczne o niej zaniepokoiłyby i mnie, ze względu na mój własny dom. Ponieważ jednak te odkrycia są mylne, oparte na domysłach, które łatwiej zburzyć, niż uzasadnić, przyzna pan, że całe towarzystwo tutejsze może mieć pewną pretensję do pana i żal, który wypadałoby jakoś ukoić.

— Ja powiedziałem tylko, — rzekł Fabiusz z okrutną prostotą — że ta pani nazywa się Louise Martin i że kupiła swój tytuł za pieniądze Rubensona, z którym żyje oddawna.

D'Anjorrant podskoczył na krześle.

— Ależ panie Oleski! Jak można wierzyć?!...

— O innych jej skłonnościach, niebezpiecznych dla młodej panny Granowskiej, o wielu szczodrych kochankach, o fantazjach przygodnych, jako rzeczach trudniejszych do stwierdzenia, nie wspominałem wcale. To zaś, co powiedziałem, mogło być niewiadome tylko kobietom, zostającym tu bez

męskiej opieki, jak pani i panna Granowskie. Te ostrzec wydało mi się obowiązkiem; tamtą oszczędzać — niedozwolonem pobłażaniem.

Margrabia tyle naraz usłyszał rzeczy, wymagających odpowiedzi, a tak mało się ich spodziewał, że wolał trzymać się jeszcze zamierzonego z góry planu swej przemowy.

— Rozumiem pana oburzenie, ale zgaduję zarazem, że musiał pan natrafić na jakiegoś zaklętego wroga pani de Sertonville, który ułożył potworną o niej legendę. Te rzeczy są mi znane; połowa ich jest z gruntu nieprawdziwa, druga należy do rzędu tych podań, które krążą o wszystkich kobietach pięknych, separowanych i będących... w ruchu. Chyba Inkwizycja hiszpańska zdołałaby wykryć i osądzić te tajemnice i zagadki kobiece, a my żyjemy w czasach wyrozumialszych, może nawet lepiej pojmujemy istotę chrześcijaństwa.

— Skoro zaczynamy żartować, możemy pomówić i o chrześcijaństwie — wtrącił Fabiusz ze swobodną ironją.

D'Anjorant silił się już na cierpliwość:

— Żarty byłyby tu nie na miejscu. Nie cofam wcale wzmianki o ideach chrześcijańskich, które, mimo życie bardzo świeckie, wysoko cenię i staram się wedle możności stosować. Do tych idei należy miłosierdzie i zaniechanie sądzenia bliźnich, aby i nas nie sądzono. Gdy jednak pan nie chce słyszeć tych przypomnień ode mnie, czemu się nie dziwię, gdyż kaznodzieją nie jestem, może pan zechce zapytać się swego *criterium* moralnego i ho-

norowego: jakie zadośćuczynienie należy się osobie pokrzywdzonej przez pana?

— Nie krzywdzę nikogo, — odrzekł Fabiusz ponuro — tylko oddaję każdemu, co się komu należy.

— Powtarzam po raz trzeci że posądzenia pańskie są niesłuszne. A że dotyczą osoby, która należy do naszego towarzystwa, to samo towarzystwo śmie pana upraszać o naprawę swej błędnej... oceny.

— Czy mogę powrócić niewinność pani de Sertonville?

— Nie chce mnie pan zrozumieć. Mówię o zadośćuczynieniu należnem tej pani, które mogłoby przybrać formę listu, przyznania pomyłki wobec świadków...

Oleski powstał sprężyście i zmierzył zapalonym wzrokiem d'Anjorrant'a, który wstał także.

— Ja teraz poproszę usilnie, aby pan zaprzestał żartów. Wiem dobrze, com uczynił, i pan wie, że mam słuszność. Moich zasad etycznych nie będzie nikt kontrolował, względy zaś waszego towarzystwa nie obchodzą mnie bynajmniej. Proponować mi w jakiejkolwiek formie zadośćuczynienie tej awanturnicy jest zuchwalstwem.

D'Anjorrant nie spuścił z przeciwnika zimnego spojrzenia oczu, nawykłych do rozkazywania; uśmiech jego stał się jadowitym, a głos smagał jak biczem:

— Panie Oleski! był pan dotychczas znajomym moich znajomych. Z tego tytułu używał pan

pewnej swobody. Dzisiaj odkrywam w panu zapędy do nadużycia tej swobody, wynikającej z naszej pobłażliwości. Jest u nas zwyczaj, że w rozmowie nie podnosi się głosu.

— Podnoszę głos na pożegnanie z panem i jego znajomymi. Proszę pozostać w swojem dobranem kole, ja zaś pozostanę z uczciwymi ludźmi.

— Powiedz pan: z rycerzami groźnymi dla kobiet.

— Pan zaś z obrońcami kobiet publicznych.

Tego było dosyć dla Oleskiego, a nadto dla d'Anjorrant'a, którego ta zniewaga zaskoczyła niespodziewanie. Oleski wyszedł bez ukłonu.

Margrabia stał przez chwilę samotny, z zaciśniętą pięścią, wściekły. Nietylko nie wybrnął z przyjętej na siebie misji, ale zaplątał się w dziwaczną awanturę. Śmiałka poskromi łatwo. Dobrzeby nawet zgładzić człowieka, który wie zanadto, a mówi za głośno.

Ocknął się i pomyślał, że przedewszystkiem w każdej chwili trzeba dobrze wyglądać, zwłaszcza wobec przyjaciół, zapatrzonych na jego nieomylność. Mozolnie przybrał wyraz taki, jakby tylko co pękał był od śmiechu i powrócił do sali gry, do swego „świata".

— A moi drodzy! ludzie jaskiniowi jeszcze nie wymarli... gnieżdżą się w Polsce... trzeba będzie od nich założyć kwarantannę... Na czem więc stanęliśmy? Aha... mamy jeszcze trzy partje do zagrania. Jestem na posterunku. Kto daje karty?

Skończył zamierzoną liczbę partyj écarté z uwagą i swobodą ogólnie podziwianą. Wielu bowiem zmiarkowało po niektórych szczegółach, po paru wybuchach głosu, które doleciały, że rozmowa w gabinecie nie należała do zwyczajnych.

Po skończonej grze d'Anjorrant odosobnił się ze Schwindem i de Nielles i tak zaczął:

— Moi kochani! spada mi dachówka na głowę...

Natychmiast i Fabiusz pomyślał o poszukaniu sekundantów, nie wątpił bowiem, że jutro d'Anjorrant przyśle mu swoich. Odrazu wydał mu się najodpowiedniejszym Słuszka. Ale czy zgodzi się sekundować przeciw codziennemu kompanowi? Nie było jednak wielu ludzi do wyboru, więc Fabiusz zdecydował się przedstawić przynajmniej swą sprawę Słuszce. Znalazł go bez trudności, gdyż bawiące się towarzystwo na Rivierze kręci się po kilku udeptanych ścieżkach.

Usiedli na ławce w ogrodzie publicznym, w kojącem powietrzu południowej nocy, patrząc na morze, oblane księżycowem światłem.

— Panie Eustachy! chciałbym panu opowiedzieć jedno zajście osobiste, które wywołałem sam przez niewczesną może prawdomówność, a które zapewne będzie miało poważne skutki.

Słuszka był trochę sztywny. Fabiusz odczuł to nieprzyjemnie.

— Nie będę powtarzał swojej rozmowy z panią Granowską, którą niestety zna cała Nizza, przez co moje życzliwe zamiary mogą być zwichnięte. Sądzę, że miałem obowiązek ostrzec. Ale chodzi

teraz o skutki mojego wystąpienia. Za panią de Sertonville ujmuje się, jak widzę, cała Nizza.

— Przepraszam — rzekł Słuszka; — ja wcale nie należę do tych, którzy się ujmują. Myślałem długo nad postępkiem pana (ja wiele myślę) i może postąpiłbym tak samo, gdybym zauważył coś groźnego.

— Spotkałem przecie na ulicy pannę Granowską i tamtą osobę, trzymające się pod ręce, jednakowo ubrane, jak dwie siostry!

— Tego nie wiedziałem... tego jeszcze nie było przed moim wyjazdem do Rzymu. Wypuściłem ich z pod obserwacji. To bardzo niestosowne dla panny Krysi, i teraz rozumiem zupełnie pański postępek. Ja sam nawet chciałem się w to wmieszać...

— A widzi pan. Szkoda tylko, że słowa moje dotarły do pani de Sertonville i pobudziły jej zemstę, szkodliwą dla Granowskich z powodu rozgłosu, a dla mnie kłopotliwą.

— Tak. Tu znowu szkoda, że pan pozwolił tak się rozgadać Kobryńskiemu, który taktu nie ma za trzy grosze.

— Z Kobryńskim skończona sprawa. Mam dużo poważniejszą z d'Anjorrant'em.

— Co? jaką? nic nie wiem.

Oleski opowiedział dokładnie o świeżej burzy w klubie.

W miarę jak mówił, Słuszka rozpromieniał się, tak, że nawet Fabiusz spoglądał na niego, nie rozumiejąc, co go tak raduje w tem zajściu. Gdy

skończył, Słuszka zawołał z najżywszem zajęciem:

— I powiedział mu pan tak: „Pozostań obrońcą kobiet publicznych"?!

— To były ostatnie słowa.

— A zatem?

— Zatem... bić się będziemy temi dniami.

— Brawo, panie Fabiuszu!

— Dlaczego? co pana tak cieszy?

— To jest... nie cieszy mnie pojedynek, ale postawienie kwestji. Bo przyznam się, że co do sprawy z Kobryńskim... miałem wątpliwości. Teraz znikły. Niech to pana nie dziwi: niecierpię, gdy przy mnie krytykują naszych poważnych ludzi. Ale mówiłem ciągle: wy go nie znacie. O to mniejsza. Teraz, jeżeli pan jeszcze nie wybrał sekundantów, ofiaruję poprostu swoje usługi. Byłem świadkiem w kilkudziesięciu sprawach, zawsze pochlebiam sobie, umiejętnym. Znam ja ich wszystkich, a pańskiego przeciwnika lepiej niż ktokolwiek. Ja przeglądam ludzi do głębi.

Fabiusz słuchał i odróżniał łatwo wielkie rysy szlachetne w tem zaplątaniu małych, nieszkodliwych śmieszności, zapożyczonych pozorów. I pomyślał:

— Przecie jedna dusza!...

A powiedział, wyciągając wdzięczną dłoń do Słuszki:

— Dziękuję całem sercem. Nie śmiałem sam proponować, znając bliskie pana stosunki z margrabią.

— Ależ on postąpił sobie jak błazen, a pan ma słuszność! — odpowiedział Słuszka naturalnie i gorąco.

— Niewielu ma te zasady działania, panie Eustachy. Winszuję sobie i ja, żem pana odgadł w tym tłumie.

Przystąpili do rozmowy praktycznej. Słuszka miał zaprosić na drugiego sekundanta pewnego Polaka, nie będącego „w ruchu“, który używał wakacyj w Nervi. Zatelegrafowano do niego. Okazało się potem, że Oleski nie umie bić się na szpady, ale z pistoletu strzela nieźle. Ponieważ będzie miał wybór broni, wybierze pistolety. Na zapytanie Słuszki, czy zgodzi się co ustąpić ze swego zdania w razie skromniejszych wymagań d'Anjorrant'a, Oleski odpowiedział, że tym razem w żadne układy pokojowe wdawać się nie chce.

— Nie uprzedzajmy wypadków — rzekł Słuszka: — nie znamy jeszcze żądań strony przeciwnej. O godzinie 10-ej rano będę u pana w Antibes.

Przygotowania nie były zbyteczne, gdyż przed południem nazajutrz Schwind i de Nielles stawili się w mieszkaniu Fabiusza. Margrabia żądał przez nich zadośćuczynienia od pana Oleskiego za wyrazy obrażające, a zupełnie pozbawione zasady. Zdziwili się niepomału, gdy Fabiusz jako jednego ze swych sekundantów wymienił Słuszkę. On i drugi sekundant są w Antibes i oczekują na świadków margrabiego.

Wszelkie układy pokojowe okazały się daremnemi, ułożono więc ostre warunki pojedynku na pistolety, który miał się odbyć pojutrze.

Gdy Schwind i de Nielles oznajmili d'Anjorrant'owi o wyniku rozpraw, margrabiego zadziwiła tylko rola Słuszki.

— Oduczy mnie to od Polaków na wieczne czasy. Gdyby nie ja, pan hrabia Słuszka pozostałby dotychczas jedną z tych figur, które, gdy się spotka na liście hotelowej albo klubowej, zapytuje się portjera, co to jest: czy Brazylijczyk, czy pomyłka w ortografji nazwiska? Myślałem, że można go przypuścić do wyboru międzynarodowego; tracę jedno jeszcze złudzenie, a niewiele mi ich pozostaje.

— Trzeba zważyć, — rzekł Schwind — że Eustachy jest rodakiem pana Oleskiego. Nie mógł odmówić.

— Wszystko jedno — poświęcił stosunki ze mną. Nie wiem, czy mu to wyjdzie na dobre. Pokażcie mi protokół.

Przeczytał.

— Dobrze.

— Jak kazałeś, niema w nim wzmianki o treści rozmowy, tylko ogólnie o wyrazach użytych przy pewnej dyskusji, dotyczącej polityki Francji— legitymował się de Nielles. — Zgodzili się na to dość łatwo.

— Bardzo są łaskawi — odrzekł pogardliwie d'Anjorrant.

XXVI.

W ogromnym ogrodzie rozkoszy kilku zaledwie ludzi myślało o poważnych i groźnych rzeczach, paru o możliwej śmierci. Reszta chodziła pijana po drogach, przystrojonych pachnącą roślinnością, nad morzem chłodzącem zbytnie upały, po domach i zakładach urządzonych dla wszystkich zachcianek. Byle tylko mieć pieniądze, można posiąść tu wszystko, a nie dbać o nic.

Późna wiosna na tem wybrzeżu jeszcze bardziej upaja niż wczesna. Mnożą się kwiaty afrykańskie, rozmarzające egzotycznie; upał, choć natężony, jest lekki z powodu przesycenia słonym oddechem morza i rzeźwą wonią pomarańcz. Nikt nie opuszcza tego kraju z powodu, że już za gorąco, albo niezdrowo dla ciała, lecz że za gorąco i niezdrowo dla duszy. Jeżeli kto nawet nie czuł nigdy duszy w sobie, poczuje ją tutaj przez ból rozkoszny i trwożny, który zadrga w nim po dłuższym pobycie na Rivierze. I wtedy silniejsi zrywają się: dość tego! prędko pakują kufry i, nie oglądając się na rozpłakaną z tęsknoty Amfitrytę, uciekają. Słabsi zaś siedzą jak najdłużej, a kiedy już upały lata, albo brak zupełny pieniędzy, albo nieuniknione domowe obowiązki wypędzą ich, odjeżdżają, płacząc.

Szał Riviery niepodobny jest do innych szałów: nie zgiełkliwy ani męczący. Ogarnia powoli i miękko, usypia i podnieca zarazem; podnieca apetyty i pragnienia, usypia zaś tylko pamięć o nudnych obowiązkach. Powietrze tutejsze perswaduje

wymownie, kusi nieustannie, a tak łaskotliwie i przemożnie, jak przez sen bezsilny.

Pani Anna zapadała coraz bardziej w taki sen, zwłaszcza od czasu, jak silna przewodnia ręka Fabiusza oddaliła się od niej. Jerzy był mistrzem innego rodzaju. Niedawno miała go pani Oleska za uosobienie zmysłowej pokusy. Teraz już nie. On poprostu kocha i obawia się tylko, czy dawniejsze uczucie w sercu kochanej osoby nie jest jeszcze groźne dla niego. Obawia się niepotrzebnie: Fabiusz pozostanie zawsze doskonałym przyjacielem, rodzajem ojca; sam zresztą tego tylko pragnie... A Jerzy będzie mężem, mężem-kochankiem, trudnym może do utrzymania na wodzy, ale tem ponętniejszym.

Wczoraj powiedział:

— Życie moje do pani należy.

A ona zapytała:

— Gdybym to wzięła na serjo?

On znowu, z wyrazem twarzy tak szlachetnym:

— Mówię poważnie i szczerze; a jeżeli nie zupełnie jeszcze wyraźnie, to tylko dlatego, że oczekuję odpowiedzi na pewien list.

— Jaki znów list?!

— Do ojca.

— Czy pan nawiązał lepsze stosunki z ojcem?

— Na ważnym przełomie życia poczytałem to za swój obowiązek.

Ona zamilkła, napół zadowolona, a on dodał:

— Czekam na tę odpowiedź. Ale jakakolwiek będzie, szczęście moje zawisło na odpowiedzi pani.

— Nie słyszę zapytania.

— Przez wszystkie dni od czasu, jak panią tu spotkałem, przez każdą myśl i każde słowo mówię to samo. Czy pani nie rozumie mnie? nie zgaduje?...

— Na zagadki nie odpowiadam.

— Może on nieśmiały z kobietami? — myślała pani Oleska, wspominając ostatnią rozmowę. Jednak to wyraźne, co mi powiedział; tylko dlaczego ten zbuntowany poeta tak metodycznie czeka na odpowiedź ojca?...

. . . .

Gwałtowne uderzenie w dzwonek. Po chwili, bez anonsowania, wpadła pani de Nielles, niepokojąca przez swe pomieszanie. Była godzina dziewiąta wieczorem.

— Proszę się nie dziwić. Czy pani wie, że d'Anjorrant bije się jutro na pistolety z pani kuzynem?

Anna pobladła silnie i opadła na krzesło.

— Nie wiem... to nie może być.

— Jakto nie może być? Będzie! za kilka godzin. Ale my temu przeszkodzimy. Gdzie jest pan Oleski?

— Powinien być w Antibes.

— Wracam stamtąd, niema go w domu. Wszyscy gdzieś poznikali. Mój mąż także ma gdzieś noc przepędzić poza domem... d'Anjorrant także. Kryją się... Niech pani sprowadzi do siebie Dubieńskiego.

— Tutaj?... ale noc zapadła...

— To proszę iść do niego... Niema co się namyślać; ostatnia chwila do działania.

Anna powstała instynktownie, ale zachwiała się niezdecydowana i bezradna.

— Albo niech go pani sprowadzi do mnie. Mnie to wszystko jedno.

Ten projekt wydał się odrazu dobrym Annie. Napisała drżącą ręką kilka słów do Jerzego.

— Proszę mi to dać. Mam posłańca, który go znajdzie natychmiast. A my wychodźmy. Powóz czeka przed drzwiami.

Za chwilę dwie kobiety przeniosły się nieopodal do mieszkania pani de Nielles.

W kwadrans później zjawił się Dubieński.

— Zostawiam was samych, porozumiejcie się — rzekła pani domu, oddalając się z salonu do swego pokoju.

— Panie Jerzy! — rzekła Anna zdławionym głosem: — Fabiusz strzela się jutro... trzeba temu przeszkodzić... Pan to uczyni!

— Jakim sposobem! Na to niema rady.

— Pan znajdzie... Mam tyle do pana zaufania! Pierwszy raz o coś proszę naprawdę, usilnie...

Jerzy wziął ją za obie ręce i patrzał prosto w błagające oczy: jakie piękne! — ale zarazem poczuł zazdrość, że kto inny jest przyczyną tego lubego niepokoju.

— Zawsze tamten? — rzekł dramatycznie.

— On nie może umrzeć. On z mojej winy zaplątał się w te intrygi. Gdyby mu się coś sta-

ło, ja włożyłabym wieczną żałobę. To prawie ojciec!

— Proszę jednak powiedzieć... czego pani po mnie się spodziewa? Co mam uczynić? Czy stanąć za niego?

Anna cofnęła się, przerażona.

— Nie!... jak można myśleć!... Pan mi jesteś jeszcze droższy... inaczej...

Jerzy posunął się ku niej, wyciągnął ręce, a ona, nie broniąc się, dała się wziąć w objęcia. Złożyła głowę na jego ramieniu, cała drżąca. Teraz on tracił głowę.

— Najmilsza moja! najcudniejsza! Skoro tak jest, gotów jestem na wszystko teraz i zawsze... Daj mi ust skosztować... nie broń się, jam twój na wieki. Skoro więc mamy się pobrać... Anno...

Odsunęła się od niego silnie, ale tak miłośnie i łaskawie, że nie mógł podejrzewać szczerości jej słów:

— Nie pora. Pan wie, że mu ufam i dawno już oddałam mu serce... Ale teraz trzeba ratować tego człowieka. Pan zrobi co tylko możliwe... Zrobisz to dla mnie, Jerzy?

— Co tylko w ludzkiej mocy, ale pozwól... pobłogosław mnie na tę wyprawę, daj mi stopy swe ucałować, powtórz raz jeszcze...

I klękał i znów wstawał, aż Anna rzekła stanowczo:

— Panie Jerzy! — jesteśmy w cudzym domu i każda chwila droga. Jeżeli mnie kochasz, idź i działaj.

Dubieński zerwał się i poszedł szybko ku wyjściu. Zawrócił się:

— Dokąd mam dać znać, jeżeli coś uzyskam?

— Zapewne tutaj...

Pobiegła do drzwi, za któremi znikła pani de Nielles, i zawołała:

— Hrabino! czy tutaj czekać będziemy?

Pani de Nielles wbiegła żywo do salonu; dowiedziała się, że Dubieński wybiera się do tych panów.

— Czy pan wie, gdzie się znajduje d'Anjorrant?

— Wiem. Jest w Beaulieu ze swymi sekundantami.

— On wszystko wie! Kochany z pana chłopiec! Ruszajże i niech nasze gorące życzenia panu sekundują.

Ściskany za ręce, kochany, a razem wypychany za drzwi, Dubieński znalazł się wkrótce na ulicy...

Obie kobiety spojrzały na siebie.

— Czy pani myśli, że on potrafi odwrócić pojedynek.

— Jest bardzo zręczny — odpowiedziała Anna.

— A Raul? któż zręczniejszy od niego?! I zaplątać się w taką głupią historję!... Mądre te przepisy honoru męskiego, niema co mówić!... Płakać można ze złości nad tą tragi-komedją honoru!...

Pani Oleska spostrzegła rzeczywiście łzy w oczach pani de Nielles i teraz dopiero zdała sobie sprawę, że powierzchowna, obca elegantka ma także serce, które bije dla d'Anjorranta. Poczuła

nagłą sympatję dla niej. I między temi dwiema, które niepokoiły się każda o innego przeciwnika, powstała konieczność zwierzeń.

Dubieński stał długo na ulicy, nim doszedł do postanowienia. Był najprzód oszołomiony przez ostateczne wyznania, które zapadły między Anną a nim prawie przypadkiem z powodu elektryczności obcej, przesycającej powietrze. Czuł też w żyłach ogień niezwykły, nowy, pomimo wszelkich porównań. Pomyślał jednocześnie, że ma „pecha“. Gdyby taka chwila gdzie indziej i z innego powodu! Wreszcie zdawał sobie sprawę, że coś heroicznego zdziałać mu wypada, aby ukoić niepokój Anny.

— Właściwie to niedorzeczne. Kazała mi ocalić mego współzawodnika... Wprawdzie go się już nie boję. Ale ona drży o niego?... Gdy się ożenię, ten Fabiusz nie usunie się od niej. Nie groźne to, ale śmieszne. Teraz jednak trzeba coś począć... Ale co?...

Poszedł przed klub, wybrał najlepszy ze stojących tam powozów i kazał pędem jechać do Beaulieu.

Gdy się to działo, Fabiusz przyszedł do mieszkania Anny. Służąca oznajmiła mu, że pani przed kwadransem wyszła z hrabiną de Nielles, nie powiedziała dokąd idzie i kiedy wróci.

Fabiusz sposępniał, pomyślał chwilę i rzekł:

— Tak, tak... przypominam sobie, że pani miała dzisiaj spędzić wieczór z państwem de Nielles... A czy panienka już śpi?

— Jeszcze nie.

— Proszę powiedzieć pani Jabłońskiej, że chciałbym zobaczyć się z dzieckiem.

Chciał zaczerpnąć skądkolwiek spokoju, którego nie znajdował dzisiaj we własnem sumieniu. Zawikłał się w skutki najlepszych swych zamiarów, a teraz nie miał już dość siły, aby konsekwentnie stanąć w rozterce z całym światem, urządzonym wstrętnie i wadliwie. Zresztą było za późno. Od paru miesięcy ustępował ze swych pragnień i teoryj na rzecz obcego porządku, teraz płaci za to niebezpieczeństwem życia i wstydem przed samym sobą. On, Fabiusz Oleski, wmieszany w awaturę pojedynkową w Nizzy!...

Przyszedł tutaj, aby na chwilę zapomnieć. Los jednak był przeciwny, bo do trwającego niepokoju dodawał inny: niepewność o zachowaniu się Anny w tej atmosferze niebezpiecznej... Może lepiej, że jej nie zastał: nie pora na rozmowy zasadnicze, a tem bardziej na rozrzewnienia. Ostatecznie zaś był już postanowił iść dalej samotny przez życie, jeżeli życia, które dziś tak lekko naraża, nie zwichnie, lub nie zakończy.

Po chwili pani Jabłońska wprowadziła do salonu Zosię, tłumacząc się usilnie, że dziecko ma już warkoczyki na noc zaplecione.

— Nic to, owszem, wygląda jak osoba. Chodź tu, Zosiu, do światła; chcę z tobą trochę pomówić przed wyjazdem.

Bona oddaliła się dyskretnie.

— Wujaszek wyjeżdża?

— Jutro, moje dziecko. Nawet, jeżelibym nie miał już czasu wstąpić do mamy, pożegnaj ją odemnie. Będziesz pamiętała, Zosiu?

— Będę... Ale wujaszek nie wyjeżdża?

Dziewczynka miała dziś rzeczywiście pozór dojrzalszej osoby; włosy inaczej uczesane uwydatniały kształt jej główki i wielkie podobieństwo rysów do matki. Była przytem podniecona, jak bywają nerwowe dzieci przed nocą, i smutna zarazem, bo nie uściskała na dobranoc matki.

To wszystko czyniło jej oczy tak wyrazistemi, że Fabiusz uwierzył w intuicję tej maleńkiej kobietki.

— Jeżeli będę mógł, wyjadę. Mam dużo do roboty u nas, w kraju.

— Co wujaszek ma tam do roboty?

— Nie wiem, czy zrozumiesz... a może zrozumiesz: pojadę odbierać naszą ziemię Niemcom.

Zosia głęboko zamyśliła się. Potem ogłosiła poważnie wynik swego namysłu:

— To pewno Śląsk?

— A jak ci to przyszło do głowy?

— Wujcio zawsze mówi o Śląsku.

— Dobrze zgadłaś, Zosiu. Pojadę tam, jeżeli Bóg da zdrowie.

— Eh! wujcio będzie zdrów! — zawołała Zosia żywo i z przekonaniem.

Fabiusz popatrzał z lubością na to śliczne stworzonko, może jasnowidzące. Potem objął dłońmi główkę i ucałował.

— Więc dobranoc, Zosieńko. Dzisiaj mówię ci dobranoc za siebie... i za mamę.

XXVII.

Jerzy bez trudności znalazł w Beaulieu d'Anjorrant'a i jego świadków. Znajdowali się w osobnym pokoju restauracji, zwanej La Réserve. Choć służba miała wyraźny rozkaz nie wyjawiania ich tam obecności, Dubieński poznał zaprząg margrabiego, a służba poznała Dubieńskiego, i wątpliwość ustała.

Po chwili de Nielles, wywołany przez Jerzego, wyszedł z gabinetu, w którym słychać było śpiew Włochów i głosy kobiece.

— Dubieński! co pan tu robi?

— Chciałbym koniecznie rozmówić się z margrabią o jutrzejszym pojedynku.

— Z margrabią? A to poco?

— Mogę rozmówić się i z panem; pan ma większy wpływ na niego. Czy ostre warunki?

De Nielles patrzał z rosnącem zdziwieniem na Dubieńskiego, który wydawał się srodze zaniepokojonym. Po krótkiem wahaniu opowiedział jednak warunki pojedynku:

— Dwie kule, dwanaście metrów.

— Ależ to zabójstwo! Oleski z rzutu ręki trafia niechybnie w bilet wizytowy!

— Co pan opowiada?

— Jak to opowiadam?... widziałem go dzisiaj w strzelnicy, a znam go przecie nie od dzisiaj. Miał z dziesięć pojedynków; w każdym postrzelił przeciwnika, a jednego zabił. Od tego czasu nikt mu się nie naraża. To najsławniejszy u nas paliwoda i awanturnik.

De Nielles patrzał z niedowierzaniem na wzburzonego Dubieńskiego; pomyślał jednak, że choćby w tej przesadzie była tylko część prawdy, Raul zaplątał się w ładną historję. Nie mógł jednak jeszcze zrozumieć wmieszania się Jerzego, więc zapytał:

— Przepraszam pana. Rozmowa nasza jest tak niezwykła, że musimy zrozumieć się najdokładniej. W jakim celu pan nas ostrzega?

Dubieński odrzekł z szorstką nieco szlachetnością:

— Panie de Nielles! W każdym razie nie można mnie posądzać o nieżyczliwość dla margrabiego. Jest to człowiek, którego znam od niedawna, ale go cenię wyjątkowo. Wiele mu zawdzięczam przez samo przyjrzenie się jego stylowi. A jeżeli obcy nawet odczuwają jego wartość i szacowność, własne społeczeństwo mogłoby niebezpieczeństwo.

De Nielles pomyślał, że Dubieński jest poetą i młodzieńcem. Jednak ziarno niepokoju o przyjaciela zaczęło kiełkować. Nadrabiał tylko miną.

— Jeżeli chodzi o umiejętność strzelania, d'Anjorrant wygrał niedawno międzynarodowy konkurs strzelecki.

— Tem gorzej. Tamten wie zapewne o tem i strzeli odrazu na komendę: ognia! To jego sposób.

De Nielles rozkrzyżował ręce:

— Trudna rada... A dlaczego pan Oleski tak miękko obszedł się przed kilku dniami z księciem Kobryńskim?

— To długa historja. Muszę się przyznać panu, że dobrze pracowałem, aby się Oleski zadowolił listem przepraszającym od mego szwagra.

— Kobryński pisał list?! Nikt przecie o tem nie wie!

— A ja wiem dobrze, bo sam ten list... nosiłem.

— Nic nie rozumiem... O la la!... Cóż zatem? Jakie jest pana wrażenie?

— Trzeba zmienić warunki.

— Protokół podpisany.

— Ze Słuszką da się to zrobić.

— Hm... W każdym razie, panie Dubieński, nasza rozmowa zostanie bezwarunkowo między nami.

— Co do tego, słowo honoru.

Rozstali się. Jerzy usiadł w ogrodzie, w miejscu mało oświetlonem, z którego mógł dobrze obserwować wyjście z restauracji. Zauważył najprzód, że śpiewy w budynku umilkły; wkrótce potem spostrzegł d'Anjorrant'a, wychodzącego do ogrodu ze swymi dwoma sekundantami. Cofnął się w cień i zręcznie skierował kroki ku wyjściu. Na szosie wsiadł do swego powozu, ujechał paręset

kroków w stronę Nizzy i kazał stanąć. Wysiadł, ukrył się przy drodze i czekał.

Wydało mu się, że długo czekał. Woźnica, wietrzący jakiś pościg, jakieś miłosne śledztwo, stał się odrazu wspólnikiem, bez umowy, przez zamiłowanie do podobnych zajęć. Choć drzemał niby spokojnie na koźle, dawał znak lekkiem trzaśnięciem z bicza, gdy kto się zbliżał po szosie. Ale przejechało kilka powozów nieznajomych, jeden z zakwefiowanemi damami.

— Jeszcze nie oni... a może i nie pojadą? może nie zdołałem trafić im do przekonania?

W wyziewach ciepłej nocy Jerzy drżał z oczekiwania, ze wzruszenia i tak gorąco pragnął pomyślnego skutku swych zabiegów, że zaczął się modlić. Do kogo, o co się modlił? — ta świadomość była w nim mętna; ale cisnęły mu się do ust stare, uświęcone słowa, podczas gdy właściwie modlił się do życia o szczęście.

Nareszcie drgnął na głośniejszy turkot rozpędzonego powozu. Schwind i de Nielles jechali w stronę Nizzy. Zapewne jadą zmieniać warunki pojedynku.

Jerzy podążył za nimi opodal. Jeżeli wejdą do klubu, jeżeli zapytają o Słuszkę, który tam mieszka, wszelka wątpliwość ustanie. Świadkowie zmodyfikują protokół.

Z radością stwierdził Jerzy trafność swych przewidywań. Dowiedziawszy się dokładnie, że sekundanci margrabiego są w pokoju Słuszki, od-

szedł od drzwi klubu, odprawił powóz i stanął na ulicy, przeciągając się rozkosznie.

Spojrzał w niebo księżycowe, kuszące, jakby szukając i radząc się swej gwiazdy. Była godzina pierwsza po północy.

— Zabrnąłem trochę w kłamstwo. Ale gdy chodzi o zbawienie człowieka...

Konsekwentnie trzeba było pójść do pani de Nielles.

Dowiedział się od portjera, że pani, która tu przyszła wieczorem, przed północą odeszła. Napisał przy świetle latarni ołówkiem na kartce:

„Wszystko dobrze, niebezpieczeństwo usunięte“.

Chodziło teraz znowu o uspokojenie kobiety.

Tę kartkę posłał przez portjera na górę, sam zaś poszedł do mieszkania pani Oleskiej. Spostrzegł odrazu przyćmione światło w jednem z okien drugiego piętra, gdzie mieszkała Anna i namyślał się:

— Jeżeli zadzwonię, obudzę służbę, zadziwię wszystkich, że przychodzę w nocy, i będę zmuszony wyjść natychmiast, powiedziawszy byle co, bo wiele nie mam do powiedzenia... To na nic. Spróbuję inaczej.

Przejrzał ulicę w obie strony: była pusta. Zagwizdał wyraźnie polską piosenkę, której tu zapewne nigdy nikt nie słyszał.

Nie omylił się w rachubie: otwarto okno i Anna wychyliła się z niego.

— Co? co się dzieje?

Jerzy bardziej gestami niż głosem odpowiedział, że nie może mówić z tego oddalenia. Po kilku usiłowaniach porozumienia się, Anna położyła palec na ustach, wskazała potem ręką na drzwi od ulicy i znikła z okna. Nie trudno było zgadnąć. Jerzy z bijącem sercem stanął pod drzwiami.

Ostrożny obrót klucza w zamku i szept jej samej, Anny:

— Wejdź pan. Proszę cicho za mną po schodach.

W ciemności postępował Jerzy za szelestem sukni.

— Zakręt, znowu schody.

— Wziąłbym ją na ręce, poniósłbym aż do sypialni... wpiłbym się w jej usta, w szyję — myślał Jerzy, dzwoniąc zębami, wyciągając ręce za uciekającym pod górę cieniem i zapachem.

Pręga światła od uchylonych drzwi oświecała coraz lepiej ten pościg. Anna wbiegła jak kot na ostatnie piętro i wsunęła się szybko do swego mieszkania. Tylko lepsza znajomość gruntu wyratowała ją od objęć goniących za nią w ciemności.

Gdy stanęli na górze, w oświetlonym już pokoju, Jerzy pohamował się nieco i przypomniał, że zdać musi sprawę.

Jednak źrenice Anny rozszerzone, usta napół otwarte nie wyrażały jedynie ciekawości. Patrzała mu w oczy, blisko, a oddech jej gorący dawał Jerzemu przedsmak jakichś poufałości nieznanych, rozkoszy zawrotowych. Te posiąść za byle jaką cenę!...

— I cóż?... mów pan, mów nareszcie!

— Wszystko załatwione, usunięte...

— Jakim sposobem? kto się cofnął?

— Nikt. Ale zmienili warunki, i pojedynek odbędzie się tylko dla formy...

— Czy być może?! czy to możliwe u was?

— To tajemnica, którą wyjawiam. Musi mi pani dać słowo honoru...

— Daję, daję. Wiesz, że jam zdradzić nie zdolna. Ale kto to uczynił? Czy Fabiusz zgodził się?

Jerzy odwrócił oczy na chwilę.

— Zgodzili się za niego sekundanci.

— Więc niebezpieczeństwa niema?

— Tyle co na polowaniu dla myśliwych. Musiałem wielu użyć sposobów. Nastraszyłem świadków d'Anjorrant'a.

Tu Jerzy przypomniał, że de Nielles wziął od niego słowo honoru... Ale i pani Oleska dała także słowo... To niby antydotum.

— W tej chwili — ciągnął dalej Jerzy, ośmielony pierwszym krokiem — Schwind i de Nielles zmieniają w klubie umówiony protokół, a są jeszcze inne sposoby: sekundanci nabijają przecie pistolety...

— Rozumiem. Ale czy pan ręczy mi za to?

— Ręczę... Tylko pamiętać trzeba, że to tajemnica, o której nikomu wiedzieć nie wolno!

— Jerzy! mój Jerzy! to szlachetnie ocalić człowieka, to pięknie zbawić kogoś, który był niby... współzawodnikiem.

Garnęła się do niego z pałającemi oczyma, bezbronna, wzruszona. On zaś ją, jak pewną zdobycz, brał w ramiona wolno, z rosnącym szałem, aż złączyli się ustami i pozostali przez chwilę w uścisku.

— Nie teraz — wypraszała się mdlejącym głosem, oblewając mu twarz swym oddechem — aż odbędzie się tamto, aż tamci wrócą... mój jedyny!...

— Na co czekać? Co może stanąć między nami a szczęściem?... Świat nie istnieje, tylko ty, tylko my, połączeni na wieki. Anulko, żono duszy mojej, Anulko...

Uniósł ją jak dziecko w silnych ramionach i przepadł z nią w ciemnościach sąsiedniego pokoju.

XXVIII.

Komedja, kochany Eustachy! komedja życia, komedja cnoty, honoru... A pod tą śmieszną maską zgniła krew w społeczeństwie. Źle mówię: w społeczeństwie — w tłumie, który zapomniał zupełnie, co się społeczeństwem nazywa.

Fabiusz, bardzo podniecony, chodził po pustym tarasie w Antibes, wczesnym rankiem, po powrocie ze szczęśliwie odbytego pojedynku. Przeciwnicy spudłowali obaj, i zatarg przez to samo został usunięty; stało się zadość honorowi i sprawiedliwości.

Słuszka próbował uspokajać Oleskiego, który teraz dopiero, po pojedynku, był dziwnie wzburzony.

— Kiedy strona wyzywająca zaproponowała w ostatniej chwili jedną kulę zamiast dwóch i pistolety bez wizjerów, cóż to nas mogło obchodzić? Myśmy wyszli z tego znakomicie, z całą rycerską stanowczością i dyskrecją. Nie można było lepszego nic wymarzyć.

— Czy mnie o to chodzi?! Jedna kula, dwie kule... co mi to wszystko! Co mi to znaczy, że tacy ludzie powiedzą: stał dobrze, wyszedł z honorem! Ja nie mogę wyjść bez honoru; tu go mam, w sumieniu, nie w ich marnej cenzurze. A mnie wstyd, poprostu wstyd, żem się uniósł aż do zapomnienia o swojem skromnem, ale uczciwem stanowisku. Kiedym Kobryńskiemu puścił płazem jego napaść, dałem dowód odwagi; teraz, gdym wywołał prawie zajście z d'Anjorrant'em, uległem... poprostu stchórzyłem.

— Tego już nie rozumiem wcale. Chciałeś zamknąć usta ludziom, którzy pozwalali sobie głośno cię ganić, i uczyniłeś to w sposób zupełnie rycerski.

— Tak się to jeszcze nazywa. Ale pomyśl, zastanów się, co to znaczy.

Usiadł i mówił dalej:

— Mówię z tobą otwarcie, jako z godnym poważania przyjacielem. Miałeś wybór między przyjemnemi stosunkami a przyjściem z rzeczywistą pomocą uczciwemu człowiekowi, który, według ciebie, miał słuszność i tej pomocy potrzebował.

Nie wahałeś się poświęcić przyjemności dla uczynku miłosiernego.

— Ależ, Fabiuszu, dajmy temu pokój! Ja postąpiłem, jak każdy inny na mojem miejscu. Ciekawy jestem: czego ty w swojem postępowaniu tak żałujesz?

— Zmierzam do tego właśnie. Przełożyłeś względy moralne nad swą przyjemność i wygodę; stałeś się przez to użytecznym komuś, przez zapomnienie o sobie samym; jest to jedyna zasada cnoty społecznej. Ja zaś wręcz przeciwnie: poświęciłem swoje przekonania dla dogodzenia swojej niecierpliwej zachciance. W tej więc historji ty masz zasługę, a ja jestem, co najmniej, lekkomyślny.

— Doprawdy! — zaśmiał się Słuszka: — gdybym cię nie znał, nazwałbym cię sofistą.

— Ale mnie znasz, więc nie nazywaj tak. Powiedz mi: co to jest honor?

— No... utrzymanie w każdej okazji godności osobistej.

— Za słabe, za dalekie określenie. Honor znaczy tyle, co cześć lub zaszczyt, i był dawniej zaszczytem należnym cnocie. *Honor virtutis praemium.* Jakiejże cnoty zaszczytem jest honor pojedynkowy? Można być sybarytą, leniwcem, pijakiem, egoistą do szpiku kości, nawet zbrodniarzem w zakresie obyczajów, a przytem tak zwanym „człowiekiem honorowym“. Takiego pana trzeba poważać dlatego, że nigdy nie dał sobie powiedzieć prawdy w oczy, że umie strzelać, kłuć lub rąbać, że nazywa się tak a tak i nosi modne ubranie. Ten pan

nie posiada ani jednej zalety obywatela, ani źdźbła użyteczności, ani iskry cnoty, owszem jest publicznem zgorszeniem, chwastem nie do usunięcia, bo... bo ma honor! Przyznaj, że to potworne.

— Cóż robić?... świat tak już poszedł, tak jest urządzony.

— To nie godna ciebie odpowiedź, Eustachy! Ty masz honor, bo masz serce. Ludzie bez serca nie mają honoru.

— Tak byćby powinno...

— Przypatrz się dalej, co się stało ze starożytnym człowiekiem, zasłużonym w społeczeństwie, który używał dobrej sławy, był honorowany. Ludzie, pracujący dla dobra ogółu, ludzie, broniący podstaw naszej cywilizacji, prawdziwi chrześcijanie, wyznawcy i nauczyciele cnoty — to (grzecznie mówiąc) marzyciele, idealiści — poufniej nazywają ich głupcami. Nadto zaś, o dziwo! ci ludzie mogą wcale nie mieć honoru! Jeden z nich nie strzelał się za doznaną obrazę, drugi naraził się wyższemu towarzystwu, mówiąc głośno o jego przywarach. Wychodzi więc na to, że ludzie godni wszelkich honorów nie są honorowi, a ludziom, godnym zgładzenia ze świata dla dobra tegoż świata, nic pod względem honoru zarzucić nie można.

— Rozumowanie trochę absolutne — rzekł Słuszka. — Ze zbyt wysokiego stanowiska sądzisz świat, i dlatego nic się w nim z twoją teorją nie zgadza.

— Przypominam owszem zasadnicze idee społeczeństw: miłość bliźniego i składanie pracy na wspólny użytek. I dlatego, że wysychają te idee

w mleczu naszych współczesnych, boję się o przyszłość świata. Patrz naokoło siebie, a poczynisz spostrzeżenia zatrważające. W jakiej epoce idee społeczne używały gorszej reputacji, niż za naszych czasów? Patrjotyzm — to szowinizm; altruizm — to poza nienaturalna; sprawiedliwość — to igraszka wobec najjaśniejszego prawa pięści. Nie mówię zaś jedynie o towarzystwach, przeważnie bezmyślnych, jak tutejsze, lecz o bardzo szeroko rozpowszechnionych mniemaniach. Kto dziś naprzykład rozumem nazywa co innego, jak tylko zręczność w zdobywaniu sobie środków na wygodę i użycie, lub umiejętność kłamania?

— Odeszliśmy od przedmiotu — zauważył Słuszka: — mówiliśmy o pojęciu honoru.

— Wszystko to się wiąże. Marne społeczeństwo potrzebuje marnego honoru. Ubiór dawnego dobroczyńcy ludzkości lub przynajmniej rycerza przywdział człowiek bez serca, napół zgniły i żyjący tylko zwierzęcemi apetytami. Ale ubiór pozostał ten sam, nie zmienił nazwy i łudzi swym pozorem. Straszne są te łachmany, obiegające świat, poruszane przez żywe trupy. Teraz rozumiesz, dlaczego wstydzę się i żałuję, żem się owinął w taki płaszcz bohaterski.

— Najbardziej wyrobionych zasad niepodobna stosować ciągle; trzeba z nich coś ustąpić. Uniosłeś się, oburzyłeś się głośno na ludzi; później już innego wyjścia nie było.

— Wyjście jest zawsze. Ale siły zabrakło. Wystawiony też byłem na straszną pokusę: „Przy-

jaciele moi obrócili się naprzeciwko mnie i stanęli“ — jak w Psalmie; w oczach ludzi, o których dbam naprawdę, widziałem niepewność, czy postępuję godnie i uczciwie. To mnie złamało. To mnie popchnęło do pojedynku i do poddania się niedorzecznym przepisom, któremi gardzę. A ja miałem o sobie mniemanie, że potrafię przez kałużę nicejską przebrnąć bez plamy na ręku i na czole!...

— Doprawdy przesadzasz trochę, Fabiuszu! Pojedynek z d’Anjorrant’em „postawił“ cię tutaj. Choć o tę pozycję nie dbasz, lepiej ją jednak mieć dobrą, niż mierną.

— W tem właśnie tkwi zasadnicza różnica naszych zapatrywań. „Pozycja“, o której mówisz, jest dla mnie czemś tak drobnem, tak bezużytecznem, że prawie nie istniejącem. Najwyżej: biletem wejścia na widowisko, któremu i bez tego mogłem się przypatrzyć dostatecznie. Dla ciebie zaś, pozwól sobie to powiedzieć, kochany Eustachy, ta „pozycja“ jest smacznym narkotykiem, niebezpieczeństwem. Młodszy jesteś ode mnie, bogatszy, głośniejsze nosisz nazwisko; to wszystko tłumaczy twoją należność do tak zwanego „wyższego towarzystwa“ i przyjemność, którą w niem znajdujesz. Ale ty, ze swemi szlachetnemi zasadami, z poczuciem obywatelskiem, które masz w żyłach i w sercu, nie rozumiem, jak znosisz ohydną filozofję społeczną tych panów? Czy próbowałeś kiedy pracować lub tylko pomyśleć: jaki z twego życia pożytek dla innych?

Słuszka spochmurniał, a nawet nadąsał się.

— Ach, nie wszyscy powołani są do jakiejś roli, misji... Dla mnie wystarcza przestrzegać pewnych nieodstępnych prawideł uczciwości i przyzwoitości.

— Kochany Eustachy! Jestem nudziarzem. Skwitowałem już z powołania uśmiechniętego moralisty, bo śmiać się coraz mi trudniej. Wybacz mi. Bez ujmującego talentu mówię, co mi się wydaje słusznem i prawdziwem. Miej mnie więc tylko za logiczną książkę i jeszcze: za niepodejrzanego przyjaciela. Według mnie, wszyscy jesteśmy powołani do życia pożytecznego, nietylko do przyjemnego. Co dziwniejsza, jedynie przeświadczenie, że działamy dobrze i pożytecznie, daje nam radość spokojną, równą, której napróżnobyśmy szukali w nerwowych rozkoszach egoistycznych, opłacanych zawsze reakcją niezadowolenia z nas samych. Może nie znam dość twojego życia i źle wnioskuję. Gdybym jednak cię zapytał, czy jesteś z tego życia zawsze zadowolony? — cobyś odpowiedział?

Słuszka odnalazł swą wymowę:

— Och, mój kochany, ja nie mam złudzeń. Ja także coś wiem. Towarzystwo, w którem się obracam, przeniknąłem na wylot; oni przede mną nic nie ukryją. Wiem, że nie można z takich złożyć społeczeństwa; oni są tylko pianą kultury i jako tacy bawią mnie. A także boją się mnie, bo im nie oszczędzam słów prawdy. Może nawet utrzymuję niektórych w rygorze, szczególnie kobiety... Gdyby nie kobiety, dawno porzuciłbym tę międzynarodową

koterję. Sądzę jednak, że, pozostając w niej, umiem być użytecznym.

— Objaśnij mnie, proszę — rzekł Fabiusz: — co ty właściwie robisz pomiędzy nimi?

— Co?... reguluję, trzymam, stłumiam, wyróżniam....

Słuszka wykonał parę odpowiednich gestów, ale zatrzymał się przed postawą Oleskiego, który, oparłszy obie dłonie na kolanach, kontrolował go życzliwem, ale przenikliwem spojrzeniem. Nareszcie Słuszka roześmiał się:

— Tak... tybyś powiedział, że czas tracę.

— I zdrowie duszy — dodał Oleski.

— Może...

— Wiesz co? Wyjedźmy stąd razem! Masz jeszcze dużo ziemi. Na swojej ziemi można wiele pięknych rzeczy urządzać.

— Teraz nie mogę. Oczekują mnie różne zajęcia w Paryżu.

— Wyścigowe?

— Nietylko.

— Żadnego nie mam prawa mieszać się do twojego życia. Jednak tak głęboko przekonany jestem, że nasze powietrze służyłoby ci lepiej, niż tutejsze, że śmiem nalegać.

Nic jednak nie postanowiono. Słuszka opuścił tymczasem Oleskiego, bez werwy, ale z żywem uczuciem przyjaznem.

— Nie wyjeżdżaj ty jeszcze. Pomyślę. Mam i tutaj niektóre zawikłania.

Uściskał serdecznie nowego przyjaciela.

XXIX.

Pani Anna dowiedziała się natychmiast o wyniku pojedynku. Czy pojechać do Fabiusza?... Nie śmiała. Napisać siliła się, lecz nie znalazła słów stosownych. Ograniczyła się na posłaniu depeszy, której słowa gorące były szczere, a krótka forma dawała sposobność do ominięcia tłumu innych uczuć, przepełniających jej serce. Nad wszystkiem górował jednak niepokój, namiętny, kochany i złowrogi niepokój. Stało się: jest zaręczona, więcej niż zaręczona z Jerzym. Należy ten zwrot stanowczy oznajmić Fabiuszowi, który go przyjmie jak pomyślną wiadomość, czy jak cios?... W depeszy nic o tem nie wspominała jeszcze.

Czas do południa spędziła w podnieceniu, któremu nie mogła położyć tamy przez żadne zajęcie, ani osadzić się na jakiejś myśli, konsekwentnie radosnej. Bynajmniej nie leniwa, ani miękko rozmarzona, ubrała się wcześnie i uczuła potrzebę ruchu, przechadzki, czynności. Wybiegła nad morze. Dobroczynny powiew wiał od rozkołysanej nieco wody ku miastu i wypierał z ulic leżące zapasy ciężkiego, pachnącego upału. Wracała młoda wesołość wiosny. Nad samem morzem było rozkosznie, szumnie i lśniąco od pian, dążących do brzegu na elastycznych wałach szafiru. Żagle białe, niektóre czerwone, rozsiały się jak motyle po czarodziejskiej łące, a wiatr morski wlewał się do piersi ciepły i pożywny, gasząc i podniecając razem pragnienie. Pociągnąwszy tego napoju, Anna łzy

poczuła w oczach i takie bicie serca, że albo krzyczeć, albo całować...

Wolała odejść i odnaleźć spokój w drobnych zajęciach. Przypomniała sobie różne sprawunki, podarki dla przyjaciół w kraju, i poszła po głównych ulicach, przeglądając wystawy sklepowe. Zaraz przyszedł jej pomysł, zaćmiewający inne: znaleźć podarek dla Jerzego.

— Potrzebny mi przecie zaręczynowy pierścionek!

Zawróciła więc na quai S-t Jean Baptiste, dążąc do znajomego jubilera, i skoro weszła do sklepu, ujrzała Jerzego, nachylonego nad szufladą z klejnotami.

Zarumieniła się tak silnie, że i na twarzy Jerzego wywołała rumieniec. Podali sobie ręce bez słów powitania i zatrzymali je przez chwilę w drżącym uścisku. Dubieński odezwał się nareszcie:

— Pierwsza wspólna troska...

Właściciel magazynu dobył inną szufladę, rozłożył szybko różne kosztowne stroje, zapewniając, że ma „okazje“ niebywałe, przeznaczone na Paryż, ale które tutaj zbyłby chętnie z powodu „końca sezonu“. Dodał też, że służy kredytem.

Nowy powód do zakłopotania Anny.

Zwróciła się do Jerzego:

— Za kogo mnie tu mają!... O! żadnych wspaniałości... Coś zastosowanego do mnie. Mały pierścionek, taki, abym mogła się odwzajemnić...

Pochylili się oboje nad wyborem pierścionków. Podczas gdy Anna zawieszoną ręką zdawała

się haftować kosztowne wzory po aksamicie, Jerzy, oparty o stół, nachylony blisko do jej twarzy, przeplatał prozę cyfr i karatów gorącym szeptem:

— Doskonale... szmaragd... rubin, wszystko jedno... Moje najukochańsze dziecko... Dobrze. Ten ci się podoba?... Mnie podoba się wszystko, czego rączką dotkniesz, na co spojrzysz, moja gwiazdko szczęśliwa...

Jubiler, trafnie oceniając sytuację i zamiary kupujących, oddalił się nieco, dyskretnie.

Wybrali nareszcie dwa rubiny po kilku słodkich napomnieniach ze strony Anny, która okazała się praktyczniejszą i trzeźwiejszą od Jerzego. Gdy pierścionki znalazły się już odosobnione na stole, w dwóch otwartych pudełkach, Anna, podsuwając nieśmiało pierścionek ku Jerzemu, rzekła cicho:

— Weź swój.

Cała w bieli, niby w ślubnej sukni, dysząca młodością i szczęściem, ofiarowała ten rubin, jak kroplę krwi własnej, i nawet w tej kramarskiej ramie przejęła Jerzego czystem wzruszeniem. Popatrzał na nią długo i rzekł:

— Nie tutaj, najdroższa. Zamieńmy je nad morzem.

Wyszli zatem, unosząc symboliczny zadatek szczęśliwej przyszłości. Skoro mieli razem iść przez życie, mogli i dzień ten we dwoje przepędzić.

Nad morzem, kryjąc się, jak dzieci, za jakąś budkę, oddali sobie pierścionki. Nie czuli jednak ani naiwnego komizmu kryjówki, ani bezpośrednio nie chwytali oczyma niezmiernej uczty szafiru

i słońca, ani świadomie nie łowili słuchem dyszącego rytmu fal, lecz byli zachwyceni sobą i życiem, i wyżsi, i lepsi, i zatopieni w rozkoszy kochania. Ona zauważyła tylko w przebłysku świadomości miejsce zaręczyn: tutaj węgieł drewnianego domku, tam profil większej palmy, miejsce, do którego powróci. On zaś objął raz pamiętnym wzrokiem jej postać tak smukłą i białą, tak portretowo stojącą w dreszczach lekkiej bluzki, na tle niezmiernej rozigranej przestrzeni wód. Błękit i światło roztapiały zarysy, porywały ją z ziemi. Jerzy odezwał się nagle:

— Moja mewo srebrna!...

— Ale nie lotna, schwytana na zawsze — odpowiedziała.

I znowu, milcząc, trzymali się za ręce, tulili się do siebie ramionami, patrzali sobie blisko w jasne lub omdlewające oczy.

Znowu razem poczuli głód, a nawet wilczy apetyt, i wstąpili do nadmorskiej restauracji, szukając odosobnionego miejsca. Znaleźli je na drewnianym pomoście, z otwartym widokiem na wielką wodę, kochanego sprzymierzeńca. Przy wyborze potraw powtórzyły się czułe nieporozumienia, jak przy wyborze rubinów, ale weselsze.

Pani Anna gderała już swobodnie, jakgdyby to nie pierwsze było ich śniadanie, jakby już praw nabrała do tyranji.

— Ach, mój Boże! — zawołała nagle — nic nie powiedziałam w domu. Zosia czeka.

Jerzy, przestając się śmiać, kazał podać papier i pióro. Występował i on już trochę jako naczelnik rodu:

— Napisz do bony, że nie wrócisz.

— Naturalnie.

Po usunięciu tego wyrzutu sumienia nie było znowu żadnych. I pogoda powróciła niepodzielna.

Śniadanie było zachwycające. Każdy, najprostszy występ we dwoje, każde nowe „ty" wymówione, każdy zwrot służącego do „pani" z odcieniem przypuszczalnej należności tej „pani" do „pana" były źródłem rozrzewnienia lub uciechy. Albo topili w sobie spojrzenia mokre, całujące, albo znów wybuchali szczerym śmiechem. Przeważnie jednak było im doskonale z sobą nawzajem i nabierali do siebie nieograniczonego zaufania.

Dopiero przy kawie, gdy służba przestała się koło nich krzątać, sprowadzili rozmowę na poważniejszy i pilny przedmiot. Podniosła go Anna.

— Kiedy spodziewasz się odpowiedzi od ojca?

— Ech! — machnął ręką Jerzy i odwrócił oczy.

— Przecie bardzo chodziło o tę odpowiedź...

Jerzy zapadł w milczenie dość niepokojące. Nareszcie, podnosząc oczy, wyciągnął obie ręce do Anny, ujął obie jej dłonie i, trzymając ją tak, jakby z bojaźni, aby nie uciekła, rzekł:

— Nie pisałem wcale do ojca.

Anna pobladła.

— Więc dlaczego mówiłeś?...

— Pisałem ten list... chciałem pisać i nie wysłałem. Oni mnie sami nauczyli kłamać. Im nie można odkryć całego serca... Anno! jedyna moja! nie wyrywaj mi rączek... Jestem twój, zupełnie twój... Przebacz mi niektóre wybiegi.

— Na cóż jednak liczyć będę mogła, jeżeli w takich chwilach, w tak ważnych epokach życia...

— Anulko! nie spowiadaj mnie z życia, w którem mam, jak każdy, plamy. Zresztą nie kłamałem ci nigdy w uczuciach. Kocham cię od pierwszego dnia, gdym cię spotkał tutaj, ot, niedaleko od miejsca, w którem jesteśmy. Ukrywałem tylko prawdę w kilku szczegółach. Cięży mi to na sercu. Odtąd zawrzyjmy układ, aby mówić sobie nawzajem bezwzględną prawdę.

— Ja nigdy nie czyniłam inaczej.

— Jesteś najdoskonalsza. Ja się do ciebie dostroję. Tak rozkosznie będzie oddychać prawdą we dwoje, pośród tego targowiska świata, stojącego na fałszu!

— Jerzy! a gdybyś i teraz nie był szczery?...

— Nie, Anno. Pierwszy raz w życiu czuję potrzebę prawdy, i to tak silnie, jak pragnę ciebie.

Mówił szczerze. Anna uwierzyła, patrząc w jego jasne, nie uciekające oczy. Jednak cień nie ustąpił zupełnie, i wysoki nastrój radości zniżył się. Trzeba było pomówić o rzeczach praktycznych i ostatecznie je określić.

— Więc kiedy i komu ogłosimy nasze zaręczyny?

— Ogłosimy je zaraz wszystkim. Także ojcu, naturalnie. Może to i lepiej oznajmić mu o fakcie spełnionym, niż uprzednio pytać się o zdanie.

— Więc... przewidujesz opór ze strony ojca? Dlaczegoż wcześniej i wyraźnie o tem mi nie mówiłeś?

— Kochałem, droga moja. Nie czyniłem zależnem pozyskania ciebie od kaprysu ojca, który przecie sankcjonować musi, bo nie może nam nic zarzucić.

Pani Anna smutnie opuściła głowę, Jerzy zaś mówił dalej, gorąco:

— Cokolwiek powie, my pozostaniemy z sobą. Prawda, Anno? Dla swojego szczęścia zawarliśmy nasze przymierze, nie dla jakiejś rachuby, tem bardziej cudzej, familijnej, lub tym podobnej. Jeżeli tylko twego uczucia mogę być pewny w każdym wypadku, reszta nie istnieje dla mnie.

— Nie możesz wątpić o mnie. Jednak powiedz: dlaczego przewidujesz niechęć ojca? Cóż ja jestem? czym nie warta... serdecznego przyjęcia do waszej rodziny?

Duma zabarwiła policzki Anny. Jerzy złożył ręce jak do modlitwy.

— Najukochańsza! wartaś królewskiego tronu i całego życia wdzięczności. Jam ciebie nie godzien. Jeżeli mówię o jakichś trudnościach w stosunku z ojcem, to tylko, aby być zupełnie szczerym. Ludzie, przyzwyczajeni do samowładztwa, bywają często przeciwni danemu projektowi jedynie dlate-

go, że nie powstał w ich głowie. Nie mam zresztą naprawdę zasady do przewidywania oporu ojca.

— Dlaczegóż jednak nie napisałeś przed... dniem wczorajszym?

— Ten dzień jest najpiękniejszym i decydującym dniem życia mojego. Do niego zastosuję resztę życia. Oznajmię natychmiast ojcu o swem szczęściu, a najprzód siostrze i szwagrowi. Do Chojnogóry nie wiem, czy pisać, czy telegrafować, czy uczynić to za pośrednictwem Tereni?... Ona umie najlepiej porozumiewać się z ojcem.

Jak gdy po upojeniu winem przychodzi nazajutrz ból głowy i niepokój, tak w sercu Anny rosło niezadowolenie. Ujrzała we właściwem świetle różne wyniki wczorajszego szału. Siostrzana rozmowa z księżną Kobryńską wydała jej się trudną.

— Mam nadzieję, że siostra twoja przyjdzie do mnie?

— Postaram się o to — odpowiedział Jerzy.

— Czy i z jej strony przewidujesz?...

Dubieński załamał ręce i rzekł gwałtownie:

— Ach, mój Boże! Gdybym mógł mieć inną rodzinę!

Akcent głosu był szczery i gorący. Pani Anna stwierdziła to z wdzięcznością. Ostatecznie na świecie niema wymarzonych stosunków, ani niepodzielnego szczęścia. Byle on ją kochał naprawdę, życie da się urządzić.

Powrócili do zupełnego porozumienia, zacieśnili jeszcze węzeł przymierza ze względu na moż-

liwą walkę za wspólną sprawę. Pozostaną z sobą, we dwoje, nie dadzą się, choćby świat cały stanął wpoprzek ich drogi.

XXX.

Nazajutrz po południu pani de Sertonville oglądała w swym salonie kartę wizytową z napisem: „Romuald hrabia Dubieński“.

— Nie pan Dubieński, który bywał u mnie? — zapytała służącego.

— Nie, jakiś inny.

— W jakim wieku?

— Młody. Bardzo prosi, aby go pani hrabina przyjęła. Musiał przyjechać niedawno i zdaleka. Surdut ma czarny jak sutannę.

— Dobrze już, dobrze... prosić.

Oddaliła się do sypialni.

Tymczasem do pachnącego saloniku wszedł Romuald Dubieński, uroczysty. Laskę i kapelusz trzymał w ręku. Stanął we środku pokoju.

Ponieważ pani nie zjawiła się natychmiast, gość miał czas rozejrzeć się po ścianach, przystrojonych świeżo i jasno, jak balowa suknia, zobaczyć w lustrze własną postać i stwierdzić, że jest równie dostojna, jak ujmująca.

— Nie zanadto powagi, aby nie spłoszyć kobiety... Nie nadto uprzejmości, aby nie spaczyć charakteru posłannictwa. Stanowczość, spokój, wytworność wielkopańska. Jeżeli to istota, która nie

zatraciła lepszych uczuć, cnota i rozum potrafią ją rozbroić. Jeżeli Mesalina, pozostają inne sposoby: przebiegłość, wreszcie hojność.

Program, naszkicowany w Chojnogórze, Romuald wypracował w ciągu długiej, samotnej podróży. Ażeby nie ulec wpływom, natychmiast po przyjeździe, przystąpił do wykonania swej misji, nie dając nawet znać o sobie Jerzemu ani Kobryńskim. Spadł z nieba jak błysk ojcowskiej sprawiedliwości, był bowiem piorunem z ramienia pana Macieja...

— Piękniejsza, niż sobie wyobrażałem!

Romuald błysnął mimowolnie rozstawionemi oczyma, poruszył nosem i otworzył nieco usta na widok Fernandy, która bez uprzedniego szelestu ukazała się w postaci swej odurzającej. Zacisnął jednak pancerz zasad na sobie i po ceremonjalnym ukłonie pozostał we środku salonu, mimo zapraszającego skinienia, aby usiadł. Pani de Sertonville patrzała jak na zamorskiego ptaka, o którym miała pewne zoologiczne wiadomości, ale na oczy go nie widziała. Nie wątpiła jednak, że tego ptaka równie łatwo spłoszyć, jak usidlić.

— Wybaczy pani niezgrabność człowiekowi, oderwanemu od pracy dla zamiarów, które będę miał zaszczyt wyłuszczyć. Jestem starszym bratem Jerzego Dubieńskiego, niejako opiekunem i przedstawicielem ojca, który mnie tu wysłał. Jeżeli pani choć trochę dobrze życzy Jerzemu...

— Bardzo miły człowiek — wtrąciła swobodnie Fernanda.

— ...Sympatje, które sobie zyskuje, wciągają go w niebezpieczeństwa, a sposób jego życia zagraża poważnie jego przyszłości nietylko pod względem moralnym, lecz i materjalnym. Ojciec przezemnie żąda natychmiastowego powrotu Jerzego do kraju i do obowiązków naturalnych. Instynktowo może mając zaufanie do szlachetnych pani uczuć, przyszedłem ją upraszać, aby mi zechciała pomóc w namówieniu Jerzego do uznania woli ojca.

Pani de Sertonville do swego boleśnie lubieżnego uśmiechu przydała trochę dworskiej ironji:

— Państwo tam dużo jeszcze czytają Dumasa? Scena z „Damy Kameljowej“ jest klasyczna, ale już wyszła u nas ze zwyczajów. Z Duvalów, ojców i synów, znamy już tylko... buljon. Co gorsza, źle pan trafił do mnie, gdyż nie jestem ani Małgorzatą Gautier, ani aniołem stróżem brata pańskiego.

Romuald trochę się zmieszał:

— Źle mnie pani rozumie. Dla naszych celów rodzinnych pragnąłem użyć tylko przyjaznego wpływu pani na mojego brata. Chyba że przyjaźń nie istnieje, w takim razie...

— Owszem. Brat pana bardzo mi się podoba. Do całej pańskiej rodziny mam najlepsze uprzedzenia. Nie wiem tylko, czy mój wpływ byłby skuteczny, a w każdym razie mój rozkaz nie podziała na niego.

Romuald, straciwszy wątek przygotowanej mowy, chwiał się równie w zamiarach, jak w swej stojącej postawie.

— Niechże pan usiądzie, i pomówmy jak lepsi znajomi. Znamy się bowiem trochę, choćby tylko pośrednio.

Ordynat Dubieński usiadł, sztywny jeszcze, ale coraz lepiej usposobiony do pięknej nieprzyjaciółki, która, podparłszy twarz ręką, patrzała na niego poufale.

— Rozumiem troskliwość pana. Powiem więcej: wszystko, co dotyczy Dubieńskich, a więc i pana, gorąco mnie obchodzi. Chociaż więc pan obraża mnie przez swe przypuszczenia, nie chcę być mściwą.

— O! bynajmniej! Zamiar obraźliwy nie postał w mojej głowie!

Fernanda wyciągnęła rękę do Romualda, a razem wychyliła szyję, a usta jej bolesne, czerwone, pełne były kobiecej prośby o słodkie przymierze. Dubieński pochylił się nad jej ręką, zaledwie jej nie pocałował. Przysunął krzesło i poczuł się zupełnie rozbrojonym.

— Mówmy zatem otwarcie — odezwała się pani de Sertonville. — Nietylko dla Jerzego, lecz dla wszystkich Nizza jest próbą ogniową.

— To, co powtarza mój ojciec! — zawołał Romuald ożywiony.

— Naturalnie, kobiety są głównem niebezpieczeństwem, ale te są wszędzie. Gorsze są intrygi, grasujące tutaj, gorsze te ciemne figury, które w zamieszaniu międzynarodowem uchodzą za zupełnie co innego, niż są w istocie. Czy pan zna Oleskich?

— Spotykamy ich czasami — odpowiedział Dubieński; nie należą do naszych bliższych znajomych.

— Mam nadzieję. Pani nie sądzę, ale jej opiekuna nauczyłam się cenić, jak na to zasługuje. Tam pan powinien był się udać, jeżeli przyjechał w zamiarze ratowania brata.

Romuald nie zrozumiał i prosił usilnie o bliższe wytłumaczenie. Fernanda wzbraniała się:

— Pierwszy raz w życiu znajduję się w takiej pozycji. Mówić o mało znajomym człowieku z nieznajomym zupełnie jego bratem i wyjawiać różne brudy, które mnie nie dotyczą!

— Ależ pani ma sposobność spełnić dobry uczynek, pomóc mi do ratowania nierozważnego młodzieńca!....

— Dobry uczynek?... to tak elastyczne pojęcie! Inny wzgląd skłoniłby mnie do powiadomienia pana: szczera sympatja, już dawniejsza, dla brata pańskiego, i nowa...

Fernanda przerwała, z dziewiczem prawie zakłopotaniem, a Romuald, pogłaskany po sercu, coraz natarczywiej domagał się zwierzeń, coraz pożądliwiej szukał ręki Fernandy.

— Pani!... pani hrabino! Widzę swoją pomyłkę, a zarazem szczęśliwy jestem, żem zdołał zabrać znajomość z kobietą równie piękną, jak szlachetną, i pozyskać trochę jej zaufania. Mów pani! Ja, ze swej strony, obiecuję nietylko dyskrecję, lecz gotów jestem na wszelkie usługi. Rzadko spotkałem, w czynnem swojem życiu, równie zajmującą rozmowę.

Pani de Sertonville objęła swą władzę nad nowym niewolnikiem zapomocą łzawego spojrzenia, w którem tliły się iskry nieodgadnionych obietnic. Rzekła:

— Usług nie potrzebuję. Potrzeba mi raczej trochy opieki w życiu, trochy pobłażliwości dla wad i zachcianek kobiety opuszczonej, samotnej... Nie mówmy o tem. Pan mi się wydaje dobrym i przyjaznym. Więc dla dobra waszego, muszę powiedzieć co się dzieje z Jerzym. Jest uwikłany w sieci tego intryganta, Fabiusza Oleskiego, który działa na niego zapomocą swej pięknej... powiedzmy kuzynki.

— Jak? kiedy to się stało? W jakim celu pan Oleski chciałby pozyskać Jerzego?

— Na to odpowiedzieć nie umiem, bo nie znam się na podobnych machinacjach. To wiem tylko, że sześć tygodni temu widywałam często pańskiego brata, a nawet jego los, jego poetycki talent szczerze mnie obchodziły. Teraz widuję go coraz rzadziej, bo jest nieodstępnym towarzyszem państwa Oleskich. Ta trójka jest nierozerwalna, odosobnia się i knuje rzeczy niedobre. Pan Fabiusz działa przez oszczerstwo, przez różne perory, a prowadzi Jerzego do jakichś ciemnych celów swoich, o których bliżej pana nie powiadomię. Przypuszczam jednak, że brat pański jest już dzisiaj w bardzo bliskich stosunkach z panią Oleską. Mówią nawet o projektach małżeńskich... Nie wiem, czy te zyskałyby pochwałę pana i jego rodziny?

— Nigdy! — zawołał Romuald: — zupełnie o kim innym myślimy dla Jerzego!

— Aa? doprawdy?

— To jest... myślelibyśmy, gdyby o to chodziło obecnie. Ale objaśnienia pani przejmują mnie zgrozą. Proszę przyjąć wyrazy najgłębszej skruchy za moje wystąpienie do pani, a także pozwolić sobie podziękować jak najgoręcej za otworzenie mi oczu i sposobność poznania wzniosłego serca i charakteru. Pozostaje mi więc oddalić się ze wstydem, za siebie i za brata — i prosić o zachowanie w tajemnicy naszej rozmowy.

— Na to może pan liczyć. Co zaś do działania tutaj, praktyczniej byłoby rozmówić się stanowczo z panem Oleskim i pociągnąć go do odpowiedzialności... Ale zato może przyjemniej było panu rozmawiać ze mną, tak jak mnie konwersacja dzisiejsza pozostanie miłem wspomnieniem...

Niepokój od otrzymanych wiadomości równoważył się w sercu Romualda ze wzruszeniem zmysłowo-romantycznem. W życiu swem obowiązkowem i oszczędnem nie spotkał kobiety, zbliżającej się do ponęty Fernandy, nie zaznał nigdy mocy tak zaprawnego wina. Miłostki jego były skryte, dorywcze i tanie. Dzisiaj poznał pokusę przemożną, pokusę, o której we śnie tylko mógł marzyć.

Musiał opuścić salon pani de Sertonville, do którego zabłądził, i ruszać na dalszą kampanję. Poprosiwszy więc tylko o pozwolenie powrotu, wyszedł na ulicę, rozgrzany i lekki, zapominając na chwilę o swych niesmacznych obowiązkach.

— Ten Jerzy! ten Jerzy! co za zbrodniarz!... ale jaki szczęśliwiec!...

Szedł przez ulicę jak pijany, chwytając w nozdrza nowe dla niego wonie egzotyczne, zaglądając w oczy kobietom, wąchając własne ręce, na których pozostała pamiątka perfum Fernandy. I począł wątpić, czy mrówcza cnota chojnogórska jest właściwą dla niego drogą. W szerokiem życiu można także wiele czynić dobrego...

Ale miał w żyłach autentyczną krew Dubieńskich, posłuszną, choć burzliwą. Ten mocny sok krąży oddawna już w „Dębach" rodzinnych i, choć wykrzywia czasem konary w malownicze węzły, ostatecznie kształci je zawsze na pożytek i ozdobę pnia genealogicznego. Romuald był pożytecznym tego pnia konarem.

Dla ochłonięcia i dla namysłu usiadł pod otwartą na ulicę werendą kawiarni i kazał sobie podać coś chłodzącego... to, co piją tamci państwo przy sąsiednim stole. Była to limonada z szampańskiem winem.

Mężczyźni w kawiarni byli wszyscy dobrze ubrani, niedbale pogardliwi, kobiety wszystkie ponętne. Nigdzie nie było jegomościa w wytartym surducie, z teką pod pachą, nigdzie zamyślonego pana w okularach. Nikt nie otwierał sakiewki, szukając w przegródce drobnej monety; pieniądze brano z garści, wydobytej z kieszeni, rzucano na marmur stołów, nie oglądając się za resztą.

— Bogaty kraj... — pomyślał Romuald.

Publiczność cała była zajęta zabawą, albo odpoczynkiem po zabawie. Głosy brzmiały energicz-

nie, błyszczały oczy. Przez ulicę ciągnęły dobre powozy, samochody, bicykle. Mnóstwo postrojonych kobiet perfumowało atmosferę, już naturalnie pachnącą kwiatem pomarańczowym, sandałem, pieprzem, morzem... mocną gamą zapachów przyjemnie odurzających.

— Szczęśliwy kraj!...

Romuald zaczął myśleć, ile dni może tu pozostać... potem, że trzeba pójść do krawca... potem o pani de Sertonville... i byłby się rozmarzył, gdyby nie był prawym Dubieńskim. Spostrzegłszy, że mu się przyglądają niektórzy, poczuł się przez chwilę nieco upokorzonym: był widocznie inny, niż tamci, z pozoru. Zaraz jednak z tej odmienności postanowił sobie zrobić wyższość; zaakcentował swą wytworną powagę, zapiął czarny surdut, dlatego, że wszyscy mieli rozpięte, lekkie ubrania, zapłacił metodycznie i, wychodząc, ze sztywną pogardą omijał ironiczne, choć powściągliwe uśmiechy ludzi, których żartobliwe uwagi przeczuwał poza swemi plecami. Zresztą w chwili, gdy opuszczał kawiarnię, żółty jakiś człowieczek z ukośnemi oczyma, wysiadłszy z powozu, wchodził do zakładu w towarzystwie dwóch sobie podobnych i odwrócił uwagę ogólną. Romuald posłyszał parę razy tytuł „Monseigneur“, skąd wniósł, że nowo przybyły musi być jakimś księciem rasy żółtej. Dubieński prawie zmartwił się, że zeszedł raptem ze sceny, chociaż odgrywał na niej rolę w swojem tylko przekonaniu poważną.

— Dość tego, teraz do obowiązków!...

Skierował kroki do hotelu, w którym mieszkali Kobryńscy.

XXXI.

Gdyby Romuald Dubieński obrał był umyślnie czas zjawienia się u Kobryńskich w postaci efektownego posłańca bogów, nie mógłby znaleźć odpowiedniejszego dnia, niż ten, w którym się zjawił. Książęce gniazdo pełne było grozy i popłochu.

Wczoraj przedstawiono księżnie Teresie dokument obligowy na 30.000 franków, na którym obok podpisu swego małżonka ujrzała z niemałem zdziwieniem swój własny podpis. Zaledwie zdobyła się na odpowiedź, że porozumie się z mężem co do zapłaty. Był to jednak cios dotkliwy, gdyż księżna wcale o istnieniu takiego dokumentu nie wiedziała. „Niepoczytalność“ Władzia wstępowała w fazę niebezpieczną, a nawet nie można było wyjaśnić tej zawiłej sprawy, gdyż Władzio nie powrócił od wczoraj do domu. Ubocznie tylko dowiedziała się księżna Teresa, że lekkomyślny jej mąż przegrał znowu grube sumy w klubie nicejskim i w Montecarlo.

Jednocześnie spadło na stroskane serce „anioła Dubieńskich“ oświadczenie Jerzego, że zaręczył się z panią Anną Oleską i prosi siostrę o wprowadzenie przyszłej bratowej do przybytków rodzinnych.

Nie odpowiedziała nic tymczasem, rozpłakała się tylko rzewnemi łzami. Nie znając trosk tego dnia feralnego, Jerzy nie mógł ani zgłębić dostatecznie przyczyny jej żalu, ani wytłumaczyć sobie tej czułości na korzyść swych zamiarów. Z niesmacznem zakłopotaniem rozstało się rodzeństwo, odkładając do jutra dalszą rozmowę. Mimo „najbliższego powinowactwa krwi i usposobienia“ z Jerzym, Teresa nie zdecydowała się narazie wyznać mu prawdy o mężu, poskarżyć się i naradzić. Trzeba było ratować się skrycie i dyplomatycznie, nie chodziło już bowiem o frazesy, lecz o żałosne fakty.

Wśród gorączkowych rozmyślań, wśród poszukiwań męża, który się ukrywał, nagłe odwiedziny Romualda, obleczonego w niedobrze wróżący charakter posła i pełnomocnego ministra, miały pozór katastrofy.

Teresa zbladła i pierwszy raz zadrżała przed namaszczonym bratem, bo poczuła, że chwila jest ważna: jej stanowisko w rodzinie, jedyne jej stanowisko zapewnione i popłatne, może się zachwiać. Ale w silnej duszy Tereni ten cios ostatni, zamiast w popłoch wprowadzić talenty, skupił je owszem i uszykował do walki.

Przyjęła Romualda nie jak egzaminatora swych czynności, którym przestano widać dowierzać w sferach decydujących, lecz jak zbawcę. Rzuciła mu się na szyję i mówiła, nie zważając na uroczystość, którą zaznaczał:

— W porę przybywasz, Romciu! Nie śmiałam sama cię tu sprowadzać, ale widać, że papa

poczuł pilną potrzebę. Kochany, mądry papa! Trzeba nam twojej męskiej ręki. Na Władzia wiesz, że trudno liczyć, a Jerzy zaszedł daleko, daleko, daleko...

Machała ręką powiewnie, jakby rzucając czar za uchodzącym kochanym zbiegiem.

— Dziwię się właśnie, — odrzekł Romuald sucho — że tak niedokładne informacje posyłałaś do Chojnogóry. Jerzy zabrnął w innym zupełnie kierunku.

— Więc wiesz?!...

— Wiem, bo wracam od pani de Sertonville. Nie mam tu czasu do tracenia, pragnąłem więc odrazu poznać osobę, niby to groźną dla Jerzego. Tymczasem naraziliście mnie na niezgrabny krok, którego zresztą nie żałuję, bom potrafił z niego skorzystać dla jaśniejszego rozejrzenia się w sytuacji. Widzę zatem, że wypadnie mi walczyć z zupełnie nowem niebezpieczeństwem: z panią Oleską?

— Posłuchaj mnie, Romciu! Muszę ci zdać sprawę z całego przebiegu mego działania tak szczerze, jakbym rozmawiała z papą. Bo skoro masz zostać naszym moralnym naczelnikiem, uświęconą głową rodziny...

— No, no, dobrze. Słucham zatem.

— Najprzód, zaraz po przyjeździe, zastałam Jerzego... jakby to powiedzieć... przechadzającego się w alejach swych wspomnień... Widzisz tę sylwetkę młodzieńca w żałobie, zamyślonego nad ży-

ciem swojem, nad losem przyjaciółki, w nim zakochanej...

— Przecie Jerzy pożegnał ostatecznie ową Karolinę jeszcze w Warszawie, według naszych informacyj.

Teresa spojrzała przenikliwie na brata.

— Jakich informacyj?

— Ojciec miał o tem wiadomości... uboczne. Mniejsza o to.

— Niezupełnie tak było — opowiadała dalej Terenia misternie: — znalazłam jeszcze w sercu Jerzego tkwiący grot, albo lepiej, fałszywy wyrzut sumienia, sentymentalny powrót do wspomnień. To wszystko starałam się wyplenić. *J'y ai beaucoup travaillé, je t'assure.*

Przerwała na chwilę, czekając może na słowo uznania od brata, ale ponieważ milczał, ciągnęła dalej:

— Zaraz potem wrażliwa natura pociągnęła go do pani de Sertonville, a raczej, *pour être dans le vrai,* on został pociągnięty przez najpiękniejszą kobietę pomiędzy... łatwemi. Dziwić się temu nie powinieneś: *nous avons tous ce quelque chose d'attrayant, qu'il ne dépend que de nous de rendre irrésistible*

Romualda zaczynała żywo zajmować rozmowa.

— Więc myślisz, że Jerzy z panią de Sertonville doszedł do... ostateczności?

Błysnął krótkim, zmysłowym uśmiechem i poruszył nosem, który miał wyrazisty, a Terenia pomyślała, czy nie byłoby pożytecznie, aby i brat-

ordynat uszczknął, choć przelotnie, jaki „kwiat grzechu“. Stałby się z pewnością wyrozumialszym, bardziej sprzymierzonym z rodzeństwem, mniej urzędowym w stosowaniu groźnych przepisów ojca... Odpowiedziała wesoło:

— Wątpić nie mogę, że tak było. Pani Fernanda, choć ją tutaj wszyscy przyjmują, nie zdaje mi się bardzo surową co do zasad. Nie rzucajmy zresztą kamieniem na nikogo, zwłaszcza w Nizzy. Tutaj sam klimat jest już łagodzącą okolicznością.

— No, no, Tereniu... Nie poznaję cię.

— Och, mówię tylko dla mężczyzn. Wracając do Jerzego, stosunek ten trwał zapewne około miesiąca. Nie mogę ci opisać, ile sił i godziwych wybiegów użyłam, aby wyrwać Jerzego z więzów, w których się szamotał. Naturę ma zdrową, naszą, ale pokusy silne, bo go kobiety... poprostu adorują. Zdołałam nareszcie wywieźć go do Rzymu. Atmosfera tego świętego miasta...

— To już wiem... o tem pisałaś do Chojnogóry.

— Właśnie. Uciekł mi z Rzymu, powołany zapewne przez swe urojone obowiązki względem pani de Sertonville. Nie wyobrażasz sobie, Romciu, jak pojęcia o obowiązku są tutaj pomieszane.

— Wyobrażam sobie. Ale to mi nie tłumaczy, jakim sposobem Jerzy jest teraz pod wpływem Oleskich i zakochany, czy tak? w pani Annie.

Był to również punkt słaby przenikliwości księżny Teresy. Jerzy tak skrycie działał, że wczorajsze ogłoszenie zaręczyn spadło na Teresę jak

dachówka z domu, o którym nawet nie wiedziała, że się budował. Na domiar złego, trzeba było jeszcze Romualdowi oznajmić o spełnionym fakcie zaręczyn. Księżna przerzuciła się od swobodnego wdzięku w djalogu do nuty bolesnej.

— Przypuszczam taką psychologję: Jerzy, ażeby się wyrwać z więzów Fernandy, zwrócił się do pani Oleskiej. Patrzałam bez podejrzeń na jego nadskakiwania, bo pani Oleska, *malgré tout,* nie jest z rodzaju pani de Sertonville, a jej nieodstępny opiekun wydawał mi się dostatecznem zapewnieniem.

— Podobno to intrygant? W jakim celu przyciągał Jerzego do swej kuzynki?

— Przyciągał? tak sądzisz? Wątpię... Skąd takie przypuszczenie?

— Czy nie słuszne?... Zatem jakim sposobem Jerzy obecnie trzyma się z Oleskimi i w jakim celu? To przecie nie nasze towarzystwo.

— Ach! — westchnęła Terenia. — Jerzy jest wrażliwy! Pana Oleskiego ja sama prosiłam, aby nam Rzym pokazywał, bo zna się na tem. A pani jest ładna... Jednem słowem, zdaje mi się, że jako antidotum przeciw pani de Sertonville wymyślił Jerzy te... zaręczyny. *C'est un coup de tête.*

Romuald zmarszczył się jak młody Jowisz na podobieństwo starego pana Macieja.

— Zaręczyny z tą wdową?

— Niestety... wczoraj mi je oznajmił.

— A! wiecie co, że ładnie tu prowadziliście nasze sprawy! Władzio się zgrał, Jerzy zaręczony

z pierwszą lepszą, a ty na to patrzysz! Przecie to bankructwo, materjalne i moralne!

Romuald powstał i niecierpliwie się rzucał, a Terenia łzawo mrugającemi oczkami starała się przeniknąć, skąd i jak wiele wie ordynat o niepowodzeniach familijnych. Zmiarkowała wkrótce, że wypowiedział już wszystko. Wtedy przemówiła słodko, z zaledwie dostrzegalnym odcieniem skargi:

— Tak. Bóg nas doświadcza, a mnie tym razem nie pozwolił zapobiec złemu... mimo najgorętszych chęci. Przyjmuję to upokorzenie.

— Ciebie nie winię. Czyniłaś zapewne, coś mogła.

— Nie, nie, nie! Mogłam więcej. Mogłam zapomnieć o wszelkiej przyjemności, o zdrowiu swojem, mogłam zamieszkać z Jerzym...

— Nie przesadzajmy. Radźmy lepiej co począć. Na ten ostatni cios nie byłem przygotowany.

Po krótkiem milczeniu rodzeństwo powróciło do harmonji, i rozmowa stała się zgodną, przyśpieszoną, techniczną.

— Pani Oleska ma dziecko? nieprawdaż? — Rzekł Romuald.

— Ma córkę sześcioletnią.

— Posagu żadnego, tylko majątek męża?

— Mały w każdym razie.

— Jak ona jest z domu?

— Bóg ją tam wie... gdzieś z Litwy.

Po obliczeniu w tych kapitalnych cyfrach wartości kandydatki na bratową, doszli oboje do przekonania, że wartość jest ujemna, nieodpowiednia

do tak wysokich przeznaczeń. Przystąpili teraz do uzasadnienia swego wyroku, do motywów moralnych.

— Przytem — rzekła Terenia — to ciągłe obcowanie wdowy z krewnym męża nie jest wytłumaczone. Pozycja nieregularna.

Romuald potwierdził i postawił nowe zapytanie:

— A jak się tutaj zachowywała?

— Tak sobie... Nic wyraźnego o niej nie mówiono. Ale była naprzykład na jachcie d'Anjorrant'a, sama, otoczona ciągle przez mężczyzn, a na tym jachcie zabawa doszła do rozmiarów trochę nadzwyczajnych.

— Któż był na jachcie?

— Byli wszyscy, byli i arcyksiążęta. Byłam i ja, ale z Władziem i w swojem towarzystwie. To co innego. Kobieta zaś bez męża, bez wielkich stosunków, powinna być bardziej „rezerwowana".

Romuald chrząknął niewyraźnie. Może mu przyszło do głowy, że skoro „byli wszyscy", mogła być jeszcze jedna, oraz że trudno wdowie znaleźć narazie męża dla wymagań morskiej przejażdżki w warunkach przyzwoitych.

To był szczegół wątpliwy. Ale ogólnie pani Anna została nazwana „partją niestosowną". Jej wykształcenie, ujmująca prostota, piękność były to dodatki bez wartości ze względu na brak zalet zasadniczych.

Nareszcie Romuald doszedł do takiej formuły, na którą oboje się zgodzili:

— Ten projekt jest nietylko śmieszny, nietylko nierozważny, ale prawie nam ubliża.

Poczęli więc radzić nad sposobem naprawienia szalonego kroku Jerzego. Starszy brat przedstawił swe pełnomocnictwa, bardzo rozległe. Miał wyraźny, ustny i piśmienny rozkaz ojca, aby Jerzy powracał natychmiast do Chojnogóry; w razie zgody — amnestja, zapłacenie długów w trzech ratach rocznych i pełny udział w cieple domowego ogniska; w razie oporu — odjęcie wszelkich dochodów, a nawet groźby bardzo poważne na przyszłość, uzasadnione z jednej strony przez wstręt dla dostarczania pieniędzy na życie rozwiązłe, z drugiej — przez „ideę ordynacji". Wprawdzie te rygory stosowały się do zerwania z panią de Sertonville i z życiem hulaszczem; projekt małżeństwa nie był przewidziany w instrukcji. Ale zarówno Terenia jak Romuald nie wątpili, że pan Maciej uzna projekt za niemożliwy.

— Czy telegrafowałaś do ojca?

— Jerzy miał wysłać depeszę od siebie — odpowiedziała Teresa.

— Tem lepiej; ojciec będzie już powiadomiony o fakcie. Ale my wyślemy drugą depeszę, zapytując o zdanie.

Zasiedli do redakcji długiej, mozolnej, nieżyczliwej.

Zaledwie skończyli i wysłali, wszedł Jerzy.

XXXII.

Bracia nie widzieli się od roku. Przez ten czas niebardzo tęsknili do siebie. Spotkanie obecne nie mogło też rozpłomienić uczuć braterskich, zwłaszcza że Jerzy otrzymał przed chwilą i miał z sobą w kieszeni odpowiedź ojca:

„Stanowczo nie pochwalam. Romuald dopowie resztę“.

Jerzy przychodził więc do siostry po objaśnienia, a spotykając Romualda, przeczuł najgorszy wynik. Nie wiedział jednak jeszcze, co „dopowie“ Romuald i jakim sposobem lokomocji znalazł się już dzisiaj, razem z depeszą, w Nizzy, a skądinąd też nie mógł przewidywać nic gorszego, niż przyjazd Romualda, streszczającego w swojej osobie wszystkie właściwości rodziny, od których Jerzy uciekł na kraj świata. Zasady Dubieńskich, stosowane przez ojca, były znośniejsze: pan Maciej był stary, skamieniały w wyrobionym przez siebie systemie, był też ojcem i źródłem wszelkiego dobra. Ale Romuald, o dwa lata tylko starszy, naturalnie równouprawniony, przyprowadzał Jerzego swoją zmonopolizowaną doskonałością coraz częściej do rozpaczy. Ze wszystkich też ukochanych przez familję idei, idea ordynacji trafiała młodszemu bratu najtrudniej do przekonania.

Zaraz po przywitaniu, gdy spojrzeli sobie w oczy, bracia poczuli, że łatwo się nie porozumieją, poczuli nawet coś, co pospolicie nazywa się nienawiścią. Ale Romuald był zbyt wyrobiony, aby

okazać, a tembardziej nazwać po imieniu tak gminne i niewłaściwe Dubieńskim uczucie. Rozpoczął więc przyjaźnie, choć stanowczo:

— Zgadujesz zapewne, kochany Jerzy, że mój przyjazd do Nizzy nie jest bez powodu. Ojciec kazał mi oderwać się od naszych interesów materjalnych i pospieszyć tutaj dla interesów wyższego rzędu. Dobra sława wszystkich członków rodziny jest skarbem najcenniejszym, którego strzec wszyscy powinniśmy. Nie śmiałbym ci powiedzieć, że zapominasz o niej, jesteś jednak na pochyłości...

— Oszczędź mi, proszę, tej przedmowy — przerwał Jerzy z buntowniczym błyskiem w oczach: — wiem, że do żądanej przez was doskonałości nigdy nie dojdę, ale mam uczciwe zamiary, co do których chciałem zasięgnąć rady ojca. Tymczasem otrzymuję odpowiedź niejasną i pragnę wytłumaczenia. Oto jest zdanie ojca o moich zaręczynach.

Dobył z kieszeni depeszę. Romuald i Teresa chciwie ją odczytali i porozumieli się spojrzeniem. Wątpliwość co do zdania pana Macieja ustała; poseł miał teraz do okazania całą moc i rozciągłość swej plenipotencji. Zamyślił się i pokiwał żałośnie głową.

Jerzy dopomniał się niecierpliwie:

— Słucham więc: co mi d o p o w i e s z?

Romuald ocknął się i urzędownie przystąpił do sprawy:

— Widzisz, kochany Jerzy... wszystkie twoje zamiary i zachcianki wynikają z życia bez steru.

Kobieta jest głównem niebezpieczeństwem twego życia, powiem nawet, nieprzyjaciółką twej duszy. Pokusy mają i inni, ale mają też przywiązanie do zasad, które ich bronią. Ten maszt Odyseusza...

— Romualdzie! Doprawdy ja lepiej znam się na literaturze niż ty. Komunałów nie potrzebuję. Mów, co masz mi do powiedzenia, poprostu:

Romuald przełknął ślinę i zarumienił się. Ciągnął jednak dalej spokojnie:

— Mówię jak umiem, ale za to myśl moja nie błąka się po manowcach. Wiem, jak trzeba myśleć. Powtarzam więc, i to nie od siebie, lecz od ojca, że zasady twego działania są błędne, że je trzeba stanowczo zmienić, porzucić.

— Tak odrazu? i w jakim celu?

— Dla pozostania prawym członkiem rodziny, dla pozostania Dubieńskim.

— Dubieńskim być nie przestałem, ale chcę być nowym, nie starym.

— Doświadczenie nasze — mówię znowu w imieniu ojca — jest może lepsze, dlatego że starsze. Jesteśmy przekonani, że jedynie życie rodzinne, ciepło domowego ogniska pozwoli dojrzeć wszystkim naturalnym darom twoim i wykształcić cię na pożytecznego obywatela. Ojciec przywołuje cię do ogniska, chce zapomnieć o przeszłości, ojciec jest dobry i wspaniałomyślny. Mam ci nawet do zakomunikowania, że jeżeli wrócisz natychmiast, długi twoje, o których wiemy, będą zapłacone w trzech ratach rocznych.

— Nie wyrzekałem się przecie nigdy powrotu do domu, a teraz tem mniej. Ale chcę wrócić — z żoną.

Romuald poruszył ramionami, zaznaczając stanowisko *non possumus.*

— Masz przecie wyraźną odpowiedź ojca.

— Wcale niewyraźną! Czekam właśnie na objaśnienie.

— Widocznie ojciec stawia panią Oleską w rzędzie kobiet niebezpiecznych, od których pragnie cię obronić.

— Ale na jakiej zasadzie?

— Zasad ojca nie roztrząsam. Trzeba się im poddać, gdyż umie on być równie łaskawy, jak sprawiedliwy. W razie gdybyś nie posłuchał, mam ci bardzo smutne rzeczy do powiedzenia.

— Naprzykład?

— Ojciec stanowczo i ostatecznie przestanie ci dostarczać pieniędzy na życie bez zasad. Nie taję ci nawet, że jest bardzo rozgoryczony, że myślał już o możliwem zniesieniu twojej schedy.

Jerzy pobladł i zamilkł. Tutaj Teresa, dotąd zupełnie bierna, wmieszała się do rozmowy:

— Romciu! to są ostateczności! Nie warto nawet wspominać o nich. Ja wierzę w Jurka, on nie zechce przyczyniać nam i ojcu takiej boleści, on się opamięta.

Patrzała z wyrazistym niepokojem na Jerzego, który milczał jeszcze, ale żuł nerwowo jakąś odpowiedź. Nareszcie przemówił:

— Znam to, już Terenia przywiozła mi podobne pogróżki. Namyślałem się nad niemi i doszedłem do ciekawych wniosków o prawdziwem znaczeniu naszej rodziny. Jest to stowarzyszenie do wyrabiania zasad w pocie czoła stowarzyszonych, z kapitałem skoncentrowanym w ręku naczelnika firmy i wynalazcy pomysłu.

— Nie przeczę — odpowiedział Romuald: — tylko twój zmysł satyryczny nie dopatrzył się innego celu założenia rodziny. Jesteśmy, powinniśmy być jedną osobą większą, rozrodzoną na kilka lub kilkanaście osób, czujących tak samo, tak samo pojmujących obowiązki moralne i społeczne. Ta spójnia, ten cement jest naszą siłą i chlubą.

— Co mi tam mówisz! — zawołał Jerzy: — jedyny cement, który nas łączy, to pieniądze!

Ten wybuch wywołał wielkie zgorszenie. Siostra wmieszała się stanowczo do rozmowy braci, z których jeden chwycił się środka zakazanego: nazwania po imieniu wielkich tajemnic rodzinnych.

— Jurku! cofnij to słowo! i my zapomnimy, żeś je powiedział.

— Nie cofam. Wszystkie inne nasze spójnie to frazesy. Miłość, która nie liczy się ani trochę z cudzą indywidualnością! Obowiązki społeczne, polegające na dobieraniu zasad ku własnej wygodzie, czy to obowiązki? Co myśmy kiedy uczynili dla kogo? Żyjemy jak każdy bankier, jak każdy żarłok, tylko nazywamy to cnotą, a apetyty innych — występkiem.

Teraz Romuald, dotknięty do żywego, zaczynał tracić cierpliwość.

— Nie przyjechałem tutaj rozprawiać z tobą o naszej wartości, ani kłócić się o teorje. Mam ci do oświadczenia wyraźną wolę ojca i zapytuję: czy trwasz w twych pięknych zamiarach, czy chcesz się ich wyrzec?

— Co nazywasz pięknemi zamiarami?

— Pozostawanie tutaj pod jakimkolwiek pozorem.

— Mówiłem ci, że chcę wrócić do normalnego życia, ale we dwoje, bo jestem zaręczony.

— To ten sam kierunek, to równoznaczne. Jednej zachciance ulega się skrycie, drugiej jawnie, skoro wynajdzie się przed światem usprawiedliwienie. Dla nas obojętne jest nazwisko kobiety, która cię trzyma. Czy Francuzka, czy Polka, czy separatka, czy wdowa, wszystko jedno, musisz ją poświęcić ideom rodzinnym. Nie zamyślasz przecie na serjo wprowadzić jednej z tych pań do Chojnogóry?

Jerzy drgnął i złowrogo zacisnął pięście.

— Jakiem prawem tak się wyrażasz?!

— Prawem danem mi przez ojca.

— A ja ci prawem wolnego człowieka powiem, że jedyny powód, któryby mnie wstrzymywał od wprowadzenia pani Anny Oleskiej do Chojnogóry, to wstyd okazania jej takiej rodziny, ale na ten wstyd już się zdecydowałem.

— Ubliżasz nam wszystkim w mojej osobie!

Zaperzeni bracia przybrali tak wojownicze postawy, że Terenia pomyślała błyskawicznie, coby to było, gdyby dwaj Dubieńscy, przechodząc od słów do gestów, potraktowali się jak dwaj szewcy. Rzuciła się między rozprawiających, jak siostra, jak rozjemca, jak anioł rodziny.

XXXIII.

Jerzy, gdy otrzeźwiał, stanął wobec groźnej alternatywy i — zadumał się. Wybór między popłatnem zadowoleniem rodziny a romantycznem małżeństwem z Anną stał się nieuchronnym. Gdyby to jeszcze był wybór między obowiązkiem a pociągiem uczuciowym! Ale stawały w sprzeczności dwa obowiązki: jeden wynikający z urodzenia, z konieczności; drugi z konsekwencyj własnych postępków, których nie śmiał nazywać zdrożnemi. Jak wybrnąć z dramatu? Jakim sposobem utrzymać w objęciach kochaną kobietę, a nie narazić się na utratę tych podłych środków materjalnych, których dokuczliwą potrzebę odczuwa jeszcze bardziej poeta, niż zwykły śmiertelnik?

Miłość i praca?? Ale praca szara, niemiłosierna, nie nazwana żadnem szumnem mianem; zajęcie w jakichś gazetach, w jakichś biurach urzędniczych... Gdyby nawet zdecydował się żyć na koszt żony, nie miała ona dostatecznego majątku dla urzeczywistnienia owego prawowitego romansu,

w którego postaci przedstawiał sobie Jerzy pożycie małżeńskie z Anną. Przyszła rodzina bez pałacu, bez powozu, bez estetycznych form życia, wydawała mu się wprawdzie rozrzewniającą, ale zarazem jakby nierealną.

— Teraz, Anno, — mówił wieczorem po stanowczej rozprawie z bratem — staję przed tobą odarty nawet z tych biednych promieni, które należały mi się z urodzenia. Pozostaję sam tylko na twe usługi — serce i ręka...

— O te dbam przedewszystkiem — odpowiedziała Anna szczerze, ale smutno...

Nie wysłuchała obojętnie wiadomości o uporze Dubieńskich, tak twardym, że raczej wyrzekali się syna i brata, niżby ją mieli przyjąć do rodziny. I w jej rachubach, prostych i uczciwych, przyszłość przedstawiała się łatwiejszą, normalniejszą, niż ta nowa perspektywa ucieczki z ukochanym do jakiejś chaty odludnej i wyklętej. Ale najbardziej dotknęła ją pycha tych ludzi, którzy widocznie poczytywali ją, Annę Oleską, za niegodną noszenia ich nazwiska. Jedyną pociechą było to, że Jerzy inaczej myśli i czuje. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała niezłomnej pewności, niezachwianej wiary w narzeczonego. To też przy nowych wyznaniach, ująwszy mocno za obie dłonie Jerzego, patrzała mu w oczy z gorącem zapytaniem:

— Ty, mój drogi, jesteś inny?...

Jerzy mdło odpowiedział na uścisk dłoni Anny i wyraził się ponuro:

— Czy ja mam prawo?

— Jakie prawo?

— Narażać ciebie na dzielenie tego życia, które teraz będę zmuszony rozpocząć.

— Jerzy! przedewszystkiem nie masz prawa tak mówić! Powinienbyś wiedzieć, że nie dla żadnych ubocznych widoków, ale dla ciebie samego pokochałam cię!...

— Moja najdroższa!

Skończyło się na wątpliwem rozrzewnieniu i z obu stron pozostał niepokój o przyszłość. Przez całą noc Jerzy walczył bezsennie z okrutną alternatywą: Ona czy bogactwo?... Przypominało to biblijną przypowieść o pasowaniu się Jakóba z aniołem.

Następny dzień przyniósł jednak roztargnienie od ciężkich myśli w postaci niespodziewanego wypadku. Poranne pisma nicejskie ogłosiły, że hrabia Dubieński, zaszczytnie znany w dyplomacji europejskiej Zebri-bej, w przejeździe morzem z Rzymu do Marsylji, rzucił kotwicę własnego jachtu pod Nizzą. Na statku znajdowali się jako goście hrabiego: książę Filip XIII i inne dostojne osoby.

Wiadomość ta podziałała elektrycznie na całą rodzinę Dubieńskich, przebywającą tego ranka różne moralne utrapienia. Właśnie bowiem do księżny Teresy wrócił był zbiegły małżonek, blady, zwyciężony przez nieszczęścia, i starał się wytłumaczyć znaczenie podpisu księżny na solidarnym wekslu: przyciśnięty okolicznościami, Władzio po-

łożył podpis żony na dokumencie, ale opatrzył go głoskami p. p., które znaczą „per procura“, w zastępstwie — a mąż jest naturalnym prokurentem żony w sprawach pieniężnych. Przyznawał jednak, że takie postępowanie prawne jest wyjątkowe i dopuszczalne tylko w pośpiechu, zagranicą, w braku właściwych urzędników i kancelaryj. Ostatecznie książę Kobryński nie był prawnikiem i mógł się omylić; w przyszłości obiecywał tego nie czynić; odwoływał się do wspaniałomyślności i do dyskrecji żony, całując ją ze łzami, zaklinając na pamięć o nazwisku, o honorze, o przodkach i potomkach. Rada nierada, Terenia musiała uwierzyć w szczerą skruchę męża i zabrała się do przygotowań na pośpieszny wyjazd z Nizzy.

Wiadomość, że stryj Tadeusz znajduje się w pobliżu na pokładzie swego jachtu, przerwała równie łzy Władzia, jak pakowanie kufrów. Dreszcz zadowolonej dumy rodzinnej przebiegł przez małżonków Kobryńskich i przyczynił się jeszcze do ich zespolenia. A także — bliskość takiego pana, przepływającego w towarzystwie Jego Królewskiej Wysokości przed ciekawemi oczyma przyjaciół, dostawców i lichwiarzy, zwiększała stanowisko i kredyt miotających się na brzegu krewniaków. A także — opisany w gazecie przepych na statku i różne wzmianki o wielmożności jego właściciela budziły nadzieję i wiarę w Opatrzność, której wyroki niezbadane kierowały i tą łodzią. W każdym razie przejazd stryja pod Nizzą wydał się Kobryńskim wypadkiem pomyślnym.

Inaczej odczuł to Romuald, wyczytawszy wzmiankę w gazecie. Ów stryj Tadeusz nie był zdeklarowanym aljantem Chojnogóry, raczej dla Jerzego miał słabość. Niewiadomo, jakie zawikłania mogłoby wywołać zejście się Tadeusza z Jerzym?...

Gorączkowe wrażenia członków rodziny doprowadziły ich ostatecznie do jednomyślnego kroku: spotkali się we troje na brzegu morza, w punkcie najmniej oddalonym od stojącego na kotwicy statku. Kobryński przyniósł nawet lunetę.

— Ha, ha! dzień dobry! Stryj przepływa...

Roześmiali się do siebie i, nie zamieniając dalszych uwag, zaczęli obserwować.

Jacht nie wpłynął do portu, stał opodal, na pełnem morzu, między Villefranche a Nizzą; nie zabierał się widocznie do wylądowania. Poranek był idealnie błękitny, spokojny i gorący. Na martwej prawie tafli wyiskrzonego szafiru drzemał biały statek samotnie, przesłoniony oślepiającemi wełnami falującego powietrza. Z powodu ciszy morskiej i skwaru nie było nawet żagli rybackich na wodzie; czasem tylko bliższa brzegu mewa, zniżając się ukośnie ostrem skrzydłem do powierzchni morza, przecięła ją małą rysą, i widać było wtedy, że szyba metalicznego szafiru nie stężała, ale płynna jest, tylko śpi w pachnącym upale. I znowu mewy wzbijały się w górny błękit, kołysząc się zygzakami, jak wielkie motyle.

Na kosztownej wygładzonej tafli leżał sam jeden przedmiot pożądania patrzących z brzegu Dubieńskich.

— Flaga francuska — oznajmił Kobryński, który patrzał przez lunetę. — Na pokładzie nie widać nikogo.

— A czy jest nasz herb na przodzie? — zapytał Romuald.

— Jest, jest, nawet z kolorami.

Po chwili milczenia odezwał się Kobryński:

— Umie żyć jednak ten Tadeusz!

— Nauczył się — poprawiła Terenia.

Wtem na nużącym już swą jednostajnością obrazie ukazał się ciekawy szczegół: do jachtu zbliżała się łódka od Nizzy.

— Szalupa! — ogłosił Kobryński — a w niej... poczekajcie... doprawdy: Jerzy!

— Czy napewno?

— On, on! poznaję twarz... i ubranie. Spojrzyjcie sami.

Romuald uchwycił lunetę i stwierdził tożsamość osoby brata, a nadto porównawszy ubiór wioślarzy z ubiorami majtków na jachcie, doszedł do przekonania, że Jerzy podąża do stryja przysłaną ze statku szalupą. Dostrzegł nawet napis na boku szalupy: nazywała się „Joyeuse“.

Terenia zapragnęła także naocznie przekonać się; ale luneta była nastawiona dla lepszego wzroku niż księżny, która zatem musiała poprzestać na opowiadaniu męża i brata.

Spojrzeli po sobie z rozczarowaniem, i Romuald sformułował smutną oczywistość:

— Widać, że stryj nie zamierza wstąpić do Nizzy. I z nas wszystkich wezwał tylko Jerzego! Dobrze mówi ojciec, że stryj Tadeusz jest niepewny...

Umilkli, goniąc oczyma łódkę, która zbliżała się już do statku.

— Trzeba temu przeszkodzić! — zawołał Romuald zaczerwieniony. — Jeżeli Tadeusz da Jerzemu pieniędzy, przepadły nasze starania... i nasze sposoby.

Twarz księżny Teresy oblała się niby aureolą chrześcijańskiej męczennicy:

— Daj pokój, Romciu... Stryj nie jest znowu tak skory... i coraz bardziej powraca... Może Bóg go natchnie? Zdajmy się na wolę Bożą.

— Masz słuszność, droga Tereniu — rzekł książę, który dzisiaj był usposobiony tkliwie i pokutnie.

Terenia miała słuszność, tem bardziej, że niepodobieństwem było wstrzymać na morzu szalupę, przybijającą już do jachtu; chybaby ją zatopić zapomocą torpedy. Zaniepokojone rodzeństwo musiało zatem z niemą powagą przyglądać się, jak opuszczono ze statku schody, jak Jerzy zręcznie wdrapał się na pokład i przepadł w zagadkowych głębiach jachtu. Jednocześnie dostrzegli lekki dymek, wznoszący się z małego kominka, nie z wielkiej rury od motoru: zapewne w kuchni gotowano śniadanie.

Władzio przełknął ślinę i poczuł głód.

— Chodźmy stąd — rzekł: — nic nie wskóramy, a lepiej, żeby nas tu nikt nie zobaczył przyglądających się pływającemu zdala od nas stryjowi.

Uwaga była trafna, choć zbyt jaskrawo wypowiedziana.

XXXIV.

Nie chcą mnie, nie chcą, Fabiuszu! — mówiła, łkając, pani Anna: — nawet Kobryńscy nie byli dotąd u mnie, a od trzech dni wiedzą o zaręczynach! Ojciec Jerzego nie chce, a ten stryj nie wiem co powiedział...

Siedziała obok dawnego przyjaciela na małej kanapce w swojem mieszkaniu i garnęła się do niego, jakby chciała zapłakane oczy ukryć na jego ramieniu. Ale Fabiusz trzymał jej dłonie i, ściskając je, miarkował zarazem jej oddalenie. Był bardzo blady, i oczy mu błyszczały gorączkowo.

— Proszę mi wszystko wytłumaczyć, bo inaczej nie znajdę nietylko rady, ale nawet zdania o postępowaniu pana Dubieńskiego. O czem miał się rozmówić z owym stryjem?

— Spodziewał się, że mu stryj pomoże w razie, gdyby ojciec odebrał wszelkie środki... Ten stryj bywał dobry dla niego i ma podobno łatwiejszy charakter niż tamci ludzie.

— Czy był wezwany, czy sam pojechał na statek?

— Był wezwany. Obiecał przyjść do mnie wczoraj, zaraz po rozmowie ze stryjem, i to mi się należało, zamiast tego nadzwyczajnego listu...

Fabiusz odczytał list, który już znał, gdyż dowiedział się naraz o zaręczynach i o wynikających komplikacjach, a teraz chciał tylko uporządkować te wyznania i wyciągnąć z nich wnioski.

Jerzy w liście, zresztą bardzo czułym, prosił o dwa dni do namysłu nad przyszłością.

— Co to znaczy: do namysłu? — rzekł Fabiusz, marszcząc brwi groźnie.

— Gdybym wiedziała?...

— Czy w rozmowach uprzednich postawiła pani jakie warunki co do obecnego małżeństwa?

— Ja?... żadnych nie stawiałam... Fabiuszu! Nazywaj mnie jak dawniej! nie odbieraj mi swego oparcia teraz, kiedy najbardziej... najgorzej...

Rozpłakała się znowu, a Oleski przymknął oczy, opanował kurcz swej twarzy i rzekł gorąco, lecz spokojnie:

— Dobrze... jak zechcesz. Wiesz, że moja przyjaźń nie zawiera się w wyrazach, ale w głębi serca. Zatem pan Dubieński prosi jeszcze teraz o namysł nad swojem własnem postanowieniem?... To... niewłaściwe.

— To okropne! można zwątpić o wszystkiem!

— Wszak wasze zaręczyny były bezwarunkowe? Ogłosiliście je przecie?

Anna wzdrygnęła się, spuściła oczy i rzekła:

— Były najuroczystsze.

Fabiusz spojrzał na nią, otworzył usta, jak do zapytania, i dech wstrzymał. Po chwili niemego zapatrzenia rzekł niestanowczo:

— Nie śmiem radzić... od początku nie rozumiałem wahania pana Dubieńskiego. Nad urzeczywistnieniem swego własnego szczęścia można się namyślać, ale skoro cudzy los wzięło się w rękę, skoro się za cudze szczęście jest odpowiedzialnym?... Tutaj nie umiem nic powiedzieć, bo nie znam twego uczucia...

— Kochałam go bardzo.

— Kochałaś? w czasie przeszłym? a cóż teraz?

— Teraz cierpię strasznie. W tym kraju niema spokojnego szczęścia.

— Ha! w tym kraju!

Fabiusz zacisnął pięść, jakby mu teraz dopiero wspomniano o osobistym nieprzyjacielu.

— Tak tu wszystko nęci, upaja... — mówiła dalej Anna boleśnie — tak mieszają się pojęcia co pozwolone a co nie... Z początku panowałam nad sobą i nad nim; wiedziałam, że trzeba było jasno określić nasze stosunki i przyszłość przewidzieć, zanim... zajdziemy zbyt daleko...

— Anno! przerwał Fabiusz z widocznym niepokojem — mówisz o zaręczynach swych, jak o... lekkomyślnym postępku. Przecie to nie zabawka, nie byle rozmowa. Czyżbyś przypuszczała możliwość zerwania waszych zobowiązań?

— Nie chcę przypuszczać... ale co znaczy ten „namysł nad przyszłością“ teraz, kiedy już rzecz się stała nieodwołalną?

Jeżeli pan Dubieński jest uczciwym człowiekiem, namysł jest tylko przewidywaniem, jakie stanowisko macie zająć oboje względem jego rodziny, albo... Bóg go tam wie, jednak przypuszczam, że namyśla się tylko nad najlepszem urządzeniem przyszłego życia we dwoje.

— Gdyby tak było!... gdyby tak było, miałabym spokój.

— Więc niedowierzasz mu?

Anna podniosła na przyjaciela oczy proszące.

— Jak poznać człowieka w tutejszym chaosie? Żebym miała twój rozum i doświadczenie, żebym wszystko ci mówiła jak dawniej, możeby nie doszło wcale do zaręczyn, do tego strachu, do tego wstydu... Patrz, ci jego krewni odrywają go ode mnie, jak od niebezpieczeństwa, jak od poniżenia! To przecie okrutne! Na to nie zasłużyłam.

— Oczywiście — rzekł Fabiusz z gorzkiem ust skrzywieniem. — Ci ludzie nie ocenią cię nigdy, bo nie znają odpowiedniej wagi ani miary. Dla nich jest za tanie to, co może być najdroższe dla innych. Ale przecie on, ten wybrany, miał nie być do swej rodziny podobny?

— A jeżeli jest... z nich? i w głębi taki sam?

— To — nieszczęście.

Anna spojrzała z niemym przestrachem w oczy Fabiusza, pałające dumą i przekonaniem.

* * *

Właśnie o tej porze księstwo Kobryńscy i Romuald Dubieński mknęli pośpiesznym pociągiem

w kierunku Ventimiglji i Wiednia. Opuścili Nizzę nagle, bez pożegnań. Książę obiecał wprawdzie głównemu swemu wierzycielowi zapłacić w przyszłym tygodniu w Nizzy, ale zmienił postanowienie, zmuszony okolicznościami, i wyjechał. Księżna doznała w ostatnich dniach tylu moralnych wstrząśnień, popadła w taką wątpliwość o przyszłości i o utrzymaniu swego stanowiska w rodzinie, że obrzydły jej ponęty i pokusy Riviery; nie pożegnawszy nawet Granowskich, nawet Słuszki, wyjechała. Romuald, po zastosowaniu swego ultimatum, po paru wizytach u pani de Sertonville „dla dokładnego zbadania kwestji“, wyjeżdżał również, z fotografją Fernandy w pugilaresie, nienasycony wrażeniami, nie mogąc jednak niczem upozorować dłuższego tutaj pobytu. Powracali więc we troje prosto do Chojnogóry, gdyż dalsza zwłoka była niemożliwa. Zresztą było już za gorąco na Rivierze.

Krótkie wieżyce Kasyna, tarasy, palmy, wieńczące barwne wzgórze montekarlijskie, migały jeszcze przy zakrętach drogi — coraz dalej. Pociąg grzmiał potężnie w tunelach, wiercących przylądki, to znowu sunął ciszej nad samem morzem, które przychodziło miejscami prawie pod szyny z miłosnym szmerem fal różnobarwnych: przejrzystych błękitem, rudofioletowych na mieliznach, albo klasycznych, ze srebrną pianą na szafirowych wałach. Morze łaskotało, zapraszało, oburzało się wreszcie na odjeżdżających.

Nasi znajomi byli przeważnie posępni: Romuald udawał pogardliwą obojętność, ale zerkał

na uciekające wieżyce Kasyna; Władzio był stanowczo ponury i nie chciał patrzeć: wlepił oczy w gazetę bezmyślnie. Księżna Teresa zaś łowiła błękit morza i nieba w swe niewielkie, skromniej błękitne oczy, jakby na zapas, na przyszłość smutniejszą i niewyraźną.

Dopiero po Ventimiglji, na wybrzeżu włoskiem, trochę się rozgadano. Zaczęło się od kilku mimowolnych westchnień, aż westchnienie księżny oblekło się w formę literacką:

— Gdyby można panować nad tym krajem, byłby to raj ziemski!...

— Et! — machnął ręką niecierpliwie Władzio, dzisiaj znowu nerwowy i krnąbrniejszy.

Romuald sprowadził rozmowę na grunt praktyczny:

— Bilet Jerzego się zmarnował.

Tu okazał cztery bilety kolejowe z Nizzy do Wiednia, podczas gdy potrzeba było tylko trzech. Widocznie Jerzy obiecał wyjechać razem, ale się rozmyślił w ostatniej chwili.

— On może nigdy stąd nie wyjedzie? — rzekł gorzko Kobryński.

— Wyjedzie i wróci do nas — odparła księżna z zaufaniem i spokojem.

— Taak. Dużo już obiecywaliśmy sobie po nim. Dużośmy też wskórali.

— Tym razem mam w Bogu nadzieję. Bóg dopuścił zbieg okoliczności, które oddadzą nam Je-

rzego. Stryj także stanowczo odmówił mu swej pomocy. Prawda, Romciu?

— Mam to wyraźnie od stryja na piśmie. Takich obietnic nie cofa się.

Uderzył się w pugilares, gdzie obok fotografji Fernandy leżał list własnoręczny Tadeusza Dubieńskiego, zawierający stanowczą naganę projektów małżeńskich Jerzego i obietnicę nie wspomagania pieniędzmi zabłąkanego synowca.

— Jerzy taki warjat, — powątpiewał jeszcze Kobryński — że gotów trwać w swych zamiarach. Może pożyczy tu pieniędzy? może wygra? kto go wie?... Z jego „weną“...

— Wątpię — odpowiedział Romuald, porozumiewając się krótkim uśmiechem z siostrą, która przybrała wyraz swój misterny.

— Jerzy ma talent urządzania sobie sytuacyj dramatycznych.

— Dramatycznych... — powtórzył Władzio z przekąsem. — Leci zawsze, gdzie go ciągnie, a potem napisze wiersz i chce, żeby się nad nim rozrzewniano! Poezja!

— Poeci są na osobnych prawach.

— Dobrze. Ja także zacznę pisać wiersze.

— Zdawałoby się, że zazdrościsz Jerzemu — rzekł Romuald. — Niema czego; on się teraz znajdzie w bardzo trudnem położeniu. Przyszedł czas pokuty.

— Taki zawsze da sobie radę.

Ale rodzeństwo zaczęło naprzemian wykładać Władziowi, na czem zawisło szczęście człowieka:

nie na dogadzaniu zachciankom, lecz na spokoju sumienia. Spokój zaś taki osiągnąć można tylko przez zamiłowanie swych przyrodzonych obowiązków, które są w pracy dla ogółu, przedewszystkiem dla ogółu najbliższego, a ten jest w gnieździe, innemi słowy: w Chojnogórze. Praca ma swoje słodycze, swój smak, którego nigdy nie skosztowali ludzie, pozbawieni poczucia obowiązku, a jednak ten „smak zadowolonego sumienia“ (wyrazy to były księżny) należy do rzędu rozkoszy. Praca pomnaża też środki materjalne i jedynie pieniądze zarobione, nie zaś pochodzące z jakowejś „weny“, są cenne, bo „male parta do czarta“ (to zacytował Romuald). Środki zaś materjalne w ręku cnotliwych i rozumnych są siłą ogromną...

Władzio słuchał najprzód z wytrzeszczonemi oczyma, potem zaczął uśmiechać się niewyraźnie, aż się nareszcie zdrzemnął. Rozmowa trwała jeszcze chwilę między rodzeństwem, ale ponieważ oboje byli jednego zdania, a nawet przewidywali wzajemnie, co które powie, wkrótce ucichli.

Z rozmyślań obudziło ich zbliżanie się wielkiej stacji: kilka torów, sznury wagonów, wielkie domy, pałace, w oddaleniu maszty.

— *Genova!* — zawołał konduktor, gdy pociąg stanął.

— Ach! już Genua! — westchnęła Terenia. — Nie pożegnaliśmy się nawet z morzem...

Oczy jej zwilżyły się żalem za krajem, w którym choć bankrutuje cnota, żyć tak miło! Romuald

zapatrzył się także w szybę wagonu, i twarz mu się rozprężyła, złagodniała.

— Przypomniałeś mi dziecinne lata, Romciu; tak jakoś wyglądasz... — rzekła Terenia i pocałowała brata.

— Tak, tak, Tereniu. Cokolwiek się mówi, życie nasze jest twarde.

— Ale szczytne — poprawiła niezłomna siostra.

Władzio zaś spał już na dobre.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.